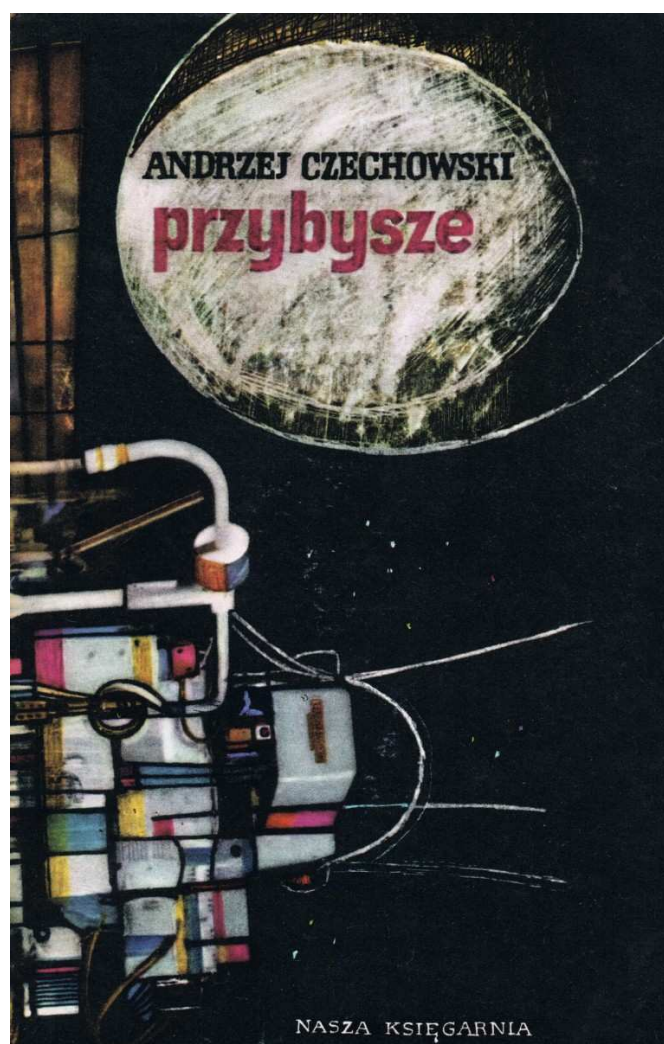


**ANDRZEJ CZECHOWSKI**

**PRZYBYSZE**



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA” WARSZAWA 1966

## WSTĘP

*Wstęp? A po co? Czechowskiego nie trzeba prowadzić za rękę i wstępnymi komplementami ułatwiać mu kontakt z czytelnikiem. Opowiadania dadzą sobie radę bez komentarzy i bez pośrednika. Jestem pewien, że młody autor dogada się z młodymi czytelnikami, że zostanie zrozumiany właściwie, że opowiadania zostaną odczytane zgodnie z jego intencjami. A jednak zdecydowałem się napisać kilka słów. Dlaczego? Mógłbym odpowiedzieć prosto: sprawdziły się moje nadzieje, piszę ten wstęp dla własnej satysfakcji.*

*Zacznijmy od początku, to znaczy od 1962 roku. W sierpniowym numerze „Młodego Technika” ukazał się komunikat o wynikach krajowego etapu Międzynarodowego Konkursu na Opowiadanie Fantastyczne. Polski sąd konkursowy w składzie: prof. dr Henryk Greniewski, Zbigniew Przyrowski — redaktor naczelny „Młodego Technika”, i niżej podpisany, przyznał pierwszą nagrodę pracy „Człękokształtny”, oznaczonej godłem „Gross”. Po otwarciu koperty okazało się, że w konkurencji krajowej zwyciężył Andrzej Czechowski, uczeń liceum w Słupsku.*

*Opowiadanie „Człękokształtny”, wydrukowane w nrze 9/1962 „Młodego Technika”, było bardzo dobrą zapowiedzią. Opowiadania zebrane w tomie niniejszym potwierdzają dobrą zapowiedź sprzed czterech lat. Obyło się więc bez rozczarowania, z czego szczerze się cieszę.*

*Fantastyka, jak każdy inny temat, łatwo pada ofiarą prymitywnych uproszczeń i niedołążnej wyobraźni. Podpatrywacze przyszłości korzystają najchętniej z tradycyjnych szlaków. Pierwszy prowadzi do krainy wielkiej grozy i ogromnego przerażenia. Drugi do arkadyjskiej szczęśliwości. Krótko mówiąc, albo nas straszą, albo kołyszają do snu. Jeśli czeka nas przyszłość pełna zbuntowanych robotów i potworów wałęsających się po przestrzeni kosmicznej, nie warto do niej się śpieszyć. Przerobić czym prędzej rakiety na tramwaje i żyć dalej po staremu. Jeżeli natomiast przyszłość zapowiada się pastelowa i beztroska, nie urywajmy przedwcześnie rękawów. Doczekamy się jej tak czy owak. Po prostu przyjdzie sama. Możliwe, że nas już nie zastanie. No, to ucieszy pokolenia następne. I oto co się dzieje: literatura fantastyczna, poruszająca się po koleinach wyjeżdżonych tysiącami utworów, odrywa się od współczesności. To, co miało być kontynuacją, staje się raptem bajką, dobrą lub złą, lecz tylko bajką. Przyszłość ginie z oczu, roztopia się w baśniowej mgłę. Lubimy bajki, ale nie traktujemy ich serio.*

*Pisarze obdarzeni wyobraźnią doskonałą torowali drogę technice. Czytelnicy wielkich powieści fantastycznych pierwsi wylądowali na Księżycu, pierwsi spotkali się z przybyszami z innej planety, pierwsi przeżyli grozę wybuchów atomowych. Dziś znacznie trudniej, dziś już nie można pisać beztrosko o grubej warstwie pyłu zalegającej powierzchnię Księżyca, bo na Księżyc możemy spojrzeć z bliska.*

*Nie wystarczy bujna fantazja, nie wystarczą nawet doskonałe pomysły. Pisząc o przyszłości trzeba mieć coś do powiedzenia, trzeba mieć własną wizję będącą przekonującym przedłużeniem współczesności w przyszłość.*

*Współczesnego czytelnika nie zagada się opisem ogrzewanych chodników ani zdalnie kierowanej wykałaczkii. Skończył się bezpowrotnie sezon dziecinnych wynalazków i pomysłów. Czytelnicy utworów fantastycznych czerpią wiadomości nie tylko z literatury.*

*Postęp techniczny nie prowadzi ani do piekła, ani do nieba. Pewne natomiast, że w ręku człowieka znalazły się możliwości techniczne, o jakich się przedtem nie śniło. Przyszłość będzie tyle warta, co człowiek, ściślej mówiąc: ludzie. W przestrzeni kosmicznej, w drodze do planet bliskich i bardzo dalekich, czekają człowieka nowe trudności, nowe problemy wymagające równie wiele wysiłku, co trudności, z którymi borykamy się na ziemi. Pojawią się inne, może nawet nie przewidywane, przeciwności i trzeba będzie je również pokonać. Przyszłość wymaga wyobraźni i wielkiego poczucia odpowiedzialności. A więc przyszłość całkowicie uzależniona od człowieka i jego wartości. Taki obraz wyłania się z opowiadań Czechowskiego. Czytając cztery lata temu pierwsze opowiadanie odetchnąłem z ulgą. Oto autor, pomyślałem, który nie wymyśla przyszłości, lecz który przyszłość widzi.*

*Podoba mi się rzeczowa, pozornie chłodna narracja tych opowiadań. Pozorna, bo kryją się w niej i wielkie uczucia, i prawdziwe dramatyczne konflikty. Cenię również dyskretny humor i subtelną ironię. Powtarzam: opowiadania Czechowskiego dadzą sobie radę bez komentarzy i bez baterii reflektorów oświetlających istotne wartości. Cieszę się, że sprawdziła się zapowiedź z 1962 roku. A teraz ruszajmy w przyszłość. Czechowski zorganizował wyprawę interesującą i niegłupią.*

STANISŁAW ZIELIŃSKI

## WIEŻA BABEL

Za panowania XXIV podsekcji Lampomózgu Neutrinowego i jego Pierwszego Cybernatora, gdy Centralna Supercywilizacja sięgała do najdalszych gromad Galaktyk i w trzech wielkich wojnach stawiała czoła Antyhomomorfosom Promieniotwórczym (których prawdziwego imienia nigdy nie zdołano poznać, gdyż wszyscy zginęli w ośmiowymiarowej wyrwie Przestrzeni powstałej od bomb czasowych), jeden ze statków patrolujących peryferie Galaktyki doniósł o powstaniu gatunku istot myślących na trzeciej planecie Układu Solarnego. Automat statku określił je wprawdzie jako „istoty podmyślące”, ale Mózg-Koordinator Centrali Ogólnogalaktycznego Rozwoju znał przypadkowo ów automat jako wielkiego sceptyka, wobec czego na własne lampy przeforsował projekt rozwijania cywilizacji solarnej metodą bodźców ciągłych z korekcją automatyczną.

W tym celu skierowano w stronę Słońca transgalaktyczną linią przesyłową Nadrobota Wynałazczego, zaprogramowanego na osiemset tysięcy lat, przy czym w ciągu tego czasu miał Nadrobot podwyższyć poziom cywilizacji solarnej do wartości typowej dla milionów Podcywilizacji-Chałupników w Galaktyce. Nadrobot osiągnął wkrótce Układ Solarny, wszedł na orbitę okołoplanetarną, po czym opuścił się na powierzchnię planety w okolicy linii terminatora. Nadrobot ochłodził się po lądowaniu w sporym jeziorze dwuwodorku tlenu, zamieniając w parę połowę jego zawartości, i zaraz przystąpił do działania.

Dysponując zdolnością momentalnego spostrzegania pozazmysłowego wszystkich zjawisk zachodzących w promieniu trzech kilometrów, Nadrobot zauważył oczywiście pieczarę zamieszkaną w tym czasie przez Zjednoczoną Hordę Zbieracko-Myśliwską. Dostrzegł również członków Hordy z Mamutem Dużym na czele, śpiących w pieczarze. Jedyнным strażnikiem pilnującym ognia u wejścia do jaskini był młodziutki Już Mamut. Błyskotliwy Nadrobot nie stracił na zastanawianie się ani mikrosekundy. Natychmiast uformował swoją plastyczną powłokę w kształt charakterystyczny dla dwunożnych mieszkańców grotu, z części masy utworzył model jednego z wielkich drapieźników żyjących na planecie, po czym wprowadził ów model w ruch, sam udając się jego śladem. Gdy dotarł w pobliże jaskini, ukrył się w zaroślach i czekał. Automatyczny Plastomodel planetarnego drapieźnika (dziś nazywanego tygrysem szablastym) ruszył powoli w stronę wesoła trzaskającego ognia. Nawet błyskawiczny Nadrobot miał trudności z odróżnieniem dwóch następujących po sobie odgłosów: ryku Plastotygrysa i głośnego wrzasku Już Mamuta, który odskoczył jak oparzony w głąb jaskini. Plastomodel zatrzymał się przy ognisku, kręcąc dookoła bryłową głowę. Wtedy Nadrobot uniósł się i cisnął w stronę Plastotygrysa dziurą z platynowym ostrzem i raketowym przyspieszaczem. Głośnik wewnątrz potwora bełkotał przez chwilę, po czym Plastomodel zwałił się na ziemię, a Nadrobot, stojąc przy nim, wsparty na dziurycie powiedział najczystszy dialektem Zjednoczonej Hordy Zbieracko-Myśliwskiej:

— Ja Wielki Przybysz! Ja zabiłem tygrysa. On chciał zjeść wielu łowców. Ale nie zrobi tego. Wielki Przybysz będzie polował razem z Mamutem Dużym! Hau!

W tej samej chwili mikroprzełącznik kriotronowy w krystalicznym mózgu Nadroboty zaakcentował ultradźwiękowym trzaskiem koniec wypełniania Wstępnego Programu Zaprzyjaźnienia, a rozpoczęcie Programu Zasadniczego. Odtąd Nadrobot stał się zdolny do wykonania 12 848 najważniejszych dla cywilizacji wynalazków i odkryć, od sposobu rozpalania ognia aż do rakiety międzyplanetarnej. Gdy wstał świt, Nadrobot niezwłocznie przystąpił do pracy.

Zjednoczona Horda Zbieracko-Myśliwska w ponurym (początkowo) milczeniu wysłuchiwała słów Wielkiego Przybysza. Wynalazek miotacza oszczepów przyjęty został nieufnie, podobnie jak metoda rozpalania ognia przy użyciu dwóch kawałków suchego drewna. Dopie-

ro krzesanie ognia powitano z entuzjazmem, wbrew niechęci starszych, przekonanych o niebiańskim pochodzeniu ognia — z błyskawic. Rozparty na porośłym mchem kamieniu Nadrobot wynalazł tego dnia jeszcze koło (zbudowano pierwszy dwukołowy wózek zaprzężony w dziesięć kobiet) oraz łuk, którym myśliwi nie mogli się nacieszyć. Niezwłocznie wyruszyli na polowanie i po kilku godzinach dwukółka przywiozła w tryumfie przed pieczarę ogromne połcie mięsa.

Następny dzień przyniósł odkrycie brązu i wykonanie pierwszych metalowych grotów. Po południu Nadrobot wynalazł gliniane garnki, wypalanie naczyń z gliny, koło garncarskie i obrotowy rożen. Wkrótce potem Horda mogła podziwiać: łódź wypaloną z pnia, łódź dębąnkę, tratwę z żaglem i wędki z przynętą. Rozpoczęto hodowlę zwierząt domowych, poczynając od mamutów. Dookoła jaskini rozłożyły się pola uprawne zasiane kukurydzą i zbożem. Powstały domy z głazów i darni otoczone palisadą z zastrzonych u góry pni. Zjednoczona Horda Zbieracko-Myśliwska przeżywała erę rozkwitu.

Niestety, wkrótce nadeszło coś, czego nie mógł przewidzieć mózg Wynalazczego Nadrobota. Pewnego dnia, gdy Nadrobot tłumaczył coś właśnie starcom zasiadającym w Radzie Hordy, z ogromnym wrzaskiem wypadły z lasu tłumy rozbójników z Leśnej Hordy Przystępczo-Rozbójniczej, która szybkim marszem nadeszła z gór, zaintrygowana niezwykłą sławą poddanych Nadrobota. Nadrobot został otoczony przez czterech zbirów uzbrojonych w ciężkie maczugi i bardzo pewnych siebie. Gdy pierwsze uderzenie wgniotło nieznacznie plastyczną powłokę, czterej napastnicy wydali okrzyk triumfu; mieli go jeszcze na ustach, kiedy poruszone Elektrohydromięśniem Prażkowano-Kurczliwym kończyny Nadrobota rozbiły im czaszki. Zaraz potem Nadrobot wysunął spod pancerza Miotacz Wysięgnikowy i powiódł dookoła strumieniem ognia. Napastnicy rzucili się do ucieczki, ścigani przez oprzytomniałych teraz łowców ze Zjednoczonej Hordy Zbieracko-Myśliwskiej. Zgiełk bitewny oddalał się w głąb lasu, a Nadrobot pozostał sam ze swoim zmartwieniem.

Musimy tu powiedzieć, że Nadrobot nie wyszedł z boju bez szwanku. Cios maczugą zdruzgotał w Nadrobotowym mózgu jeden z krystalicznych Transneurokriotronów i oto Nadrobot poczuł się zdezorientowany. Zapomniał bowiem, do czego przeznaczili go konstruktorzy. Przebiegał w pamięci wzory wszystkich 12 848 wynalazków, przypominał sobie zalecenia i reguły, ale w żaden sposób nie mógł zrozumieć, co właściwie powinien z tym wszystkim zrobić. Gdyby nie był robotem, poczułby zapewne rozpacz. Próbował zatem gorączkowo stworzyć jakiś zastępczy program działania, a ponieważ, jak już zauważyliśmy, był to Nadrobot bardzo błyskotliwy, gdy wrócili wszyscy łowcy, ich wódz wiedział już, co czynić.

Myśliwi, których inteligencja bardzo wyostrzyła się w ostatnich tygodniach, od razu pojęli rozkazy swojego przywódcy. Karawany kobiet wyruszyły natychmiast w drogę, by z różnobarwnych kanionów przynieść kolorowe kamienie-minerały. Najsilniejsi mężczyźni kamiennymi młotami wykuwali z brązu i miedzi arkusze blachy. W ziemnych piecach ruda zamieniała się w żelazo, które natychmiast hartowano w ogniskach. Starsze kobiety porzuciły pracę nad odzieżą swoich mężów i synów, zajmując się nawijaniem drutów na najrozmaitsze szpulki. Pewną trudność sprawiało im obliczenie ilości zwojów, ale w końcu błyskotliwy Nadrobot położył kres tym kłopotom: zaczął wydzielać robotnicom starannie odmierzone odcinki drutu. Najbardziej uzdolnieni malarze zakończyli pracę nad portretami mamutów, by zająć się malowaniem na ścianach jaskiń zawitych ornamentów z kresek, kółek, strzałek i zygzaków, nazywanych przez Nadrobotą schematami. I wreszcie, po miesiącu pracy, zaintrygowani łowcy pojęli, że coś tu jest nie w porządku. Zawsze dotychczas praca przynosiła rezultaty: na przykład wózek dwukołowy albo łuk, albo wypalony garnek. Po co te arkusze blachy? Komu jest potrzebny drut miedziany? Dlaczego nie wolno malować mamutów na ścianach jaskiń? Niech takimi rzeczami zajmuje się Nadrobot, a oni, łowcy, powinni polować!

Rodził się więc bunt, ale jednak tajemniczość nowej pracy rozbudziła ciekawość członków Hordy. Zaczynali rozumieć, że cel ich wysiłków musi być czymś ważnym, chociaż

niepojętym. Zaaferowany Nadrobot, biegający dookoła, wydający wciąż nowe rozkazy, wydawał się uosobieniem tego celu. Łowcy pracowali więc, kierując się najprymitywniejszym z uczuć — zaufaniem.

Gdyby ktoś znalazł się pewnego pięknego czerwcowego dnia na wierzchołku jednej z sosen rosnących niedaleko pieczary, ujrzałby niezwykły widok.

Na ogromnym, pustym placu, czerwonym od gliny, wznosiła się drewniana wieża wysokości czterdziestu metrów, zbudowana z pni najsmuklejszych w okolicy sosen. Na szczycie wieży znajdowała się platforma, a na niej umieszczono dźwig z kompletem wielokrążków. U stóp wieży z ogromnych głazów spojonych białą zaprawą zbudowano kamienny stół z otworem w środku. Na tym stole, płonąc purpurą miedzianych blach, stała trzydziestometrowa rakietka kosmiczna. Czarną farbą wymalowano na niej litery ogólnogalaktycznego pisma fonetycznego, tworzące napis: **Babel**. Co to słowo znaczy — nie wiadomo.

Zastanawiał się nad tym i ów siedzący na wierzchołku sosny obserwator, którym był przedstawiciel Żywej Superrasy Galaktycznej, znany Astroperypatetyk, komandor Carrates. Musimy tu powiedzieć, że Mózg-Koordinator Centrali Ogólnogalaktycznego Rozwoju był połączony sprzężeniem natychmiastowym z Nadrobotem i zdawał sobie sprawę ze wszystkich jego poczynąń. Natychmiast po wypadku ruszyły więc ku Ziemi statki flotyli komandora Carratesa. Osiem czarnych krążowników zanurzyło się w Ósmym Wymiarze (w którym zwykle odbywają się podróże hiperświatłne) i zmaterializowało się w pobliżu Słońca, by zaraz wejść na orbitę dookoła Błękitnej Planety. Komandor Carrates był pierwszym żywym przybyłym z Kosmosu, który postawił mackę na Ziemi. Samotnie, ukryty w skafandrze naśladowującym sylwetkę człowieka, uzbrojony tylko w ręczny laser, komandor opuścił się na Ziemię, z trudem pokonując opór gęstej atmosfery. Rychło przedostał się w pobliże pieczary, po czym zajął miejsce na sośnie, udając uschnięty konar. Z laserem w pogotowiu, czujnie obserwując okolice, czekał na dalszy rozwój wypadków.

Łowcy, znajdujący się dotychczas na platformie, zrećnie spuścili się w dół i uciekli w głąb puszczy. Przy rakiecie pojawiła się figurka Nadrobota (Carrates odróżnił go od łowców dzięki zdolności pozazmysłowego spostrzegania), buchnął płomień i Nadrobot zaczął wielkimi skokami oddalać się od rakiety. Płomień pełzał powoli wzdłuż nasyczonego saletrą sznurka. Gdy Nadrobot dopadł puszczy, znikł w otwartej dyszy silnika raketowego. Zaraz zagrzmiały rakietki zapłonowe i w chwilę po nich ruszył silnik główny. Kłęby dymu zasłoniły wieżę, a z nich z rykiem wychynęła wnet rakietka, coraz szybciej wznosząc się ku niebu. Nagle, zupełnie nagle, czerwone blachy zabłyśły światłem jaśniejszym od słonecznego, rakietka pękła od dziobu, blachy zwinęły się jak płatki kwiatu i rakietka przestała istnieć.

Na szczycie sosny komandor Carrates wsunął do kabury gorący jeszcze laser.

Nie znamy, niestety, dalszego losu nieszczęśliwego Nadrobota. Jak łatwo zauważyć, postąpił on zupełnie logicznie budując rakietę — skojarzył bowiem potrzebę doskonalenia z faktem, że rakietka kosmiczna była ostatnim punktem narzuconego mu programu. Wydawało mu się, że powinien dążyć do celu drogą jak najkrótszą. Nie możemy mieć za złe Nadrobotowi, że zapomniał o istotnym swoim zadaniu — rozwijaniu ziemskiej cywilizacji, poświęcając się jedynie realizacji wynalazków zawartych w jego pamięci.

Komandor Carrates postanowił zniszczyć stworzone przez Nadrobota fabryki i stacje energetyczne. Zniszczył je razem z kontynentem, na którym zostały wzniesione, a ewakuowanych członków Zjednoczonej Hordy rozdzielił pomiędzy pozostałe plemiona. Z ich śmiercią zaginęła pamięć o Nadrobocie, ludzkość rozwijała się odtąd normalnie, zdana na własne siły. Do naszych czasów dotrwały tylko legendy o Atlantydzie i Wieży Babel; trudno nawet powiedzieć, czy ludzkość nadal ma do Supercywilizacji pretensje.

## THE BEATLES

Jesienią były to jeszcze ostrożne przypuszczenia; zimą nadszedł czas szerzej zakrojonych plotek; wiosną natomiast gazety zamieściły oficjalną zapowiedź:

### BEATLESI WYSTĄPIĄ W WARSZAWIE

Ten przesławny zespół big-beatowy miał już wtedy za sobą występy we wszystkich krajach Commonwealthu oraz Ameryki Łacińskiej, był znany publiczności japońskiej i południowoafrykańskiej, wielkie sukcesy odnosił w Austrii, Belgii, Francji, Holandii i Niemieckiej Republice Federalnej. Czterej wysocy chłopcy z elektrycznymi gitarami byli obiektem podziwu młodzieży skandynawskiej, amerykańskiej i włoskiej, nie mówiąc o mieszkańcach Grenlandii, Islandii i Aleutów, gdzie również dotarła specjalnym lodołamaczem słynna czwórka. Dwudziestoletni porucznik amerykańskiego lotnictwa, Jack Clay, zabrał ze sobą w dwutygodniową podróż orbitalną miniaturowy magnetofon, przy pomocy którego odtwarzał z taśmy wyłącznie piosenki z repertuaru Beatlesów. Piccard junior słuchał płyt Beatlesów we wnętrzu batyskafu spoczywającego na dnie Atlantyku. Beatlesowskie grzywki nosiła młodzież całego świata, a następca tronu brytyjskiego wprowadził w oburzenie Izbę Lordów, odmawiając zmiany uczesania nawet pod groźbą utraty tronu.

O Beatlesach przeczytałem w *Expressie* i zaraz poszedłem do Elki. Miała przed sobą słownik polsko-angielski i rozpaczliwie wkuwała słówka.

— Andrzej! — ucieszyła się. — Ty jesteś dobry z angielskiego. Powiedz mi, co to znaczy: The Beatles.

— W słowniku nie ma?

— Nie ma.

Elka westchnęła i powróciła do słownika. Przy literze C zauważyła ostrożnie:

— Bilety będą co najmniej po sto złotych.

— Zależy, od kogo kupisz — rzekłem cynicznie. — Sprzedam ci za sto pięćdziesiąt.

Elka rzuciła mi się na szyję.

— Jesteś w ogóle nadzwyczajny!

Usiadłem w starym fotelu, tak miękkim, jak gdyby w ogóle nie miał sprężyn. Elka z trzaskiem zamknęła słownik i kilka razy przeszła się po pokoju.

— You are a wonderful team — rzekła prawie po angielsku.

Miało to znaczyć: Jesteście cudownym zespołem.

— Trzeba być przygotowanym na wszystko — wyjaśniła. — Nauczyłam się pięciu zdań po angielsku, bo po polsku mogą nie zrozumieć.

Pożegnałem Elkę definitywnie, obarczony odpowiedzialnością za bilety. Udało mi się je dostać trzy dni później w kasie Orbisu. Pół dnia stałem w kolejce w otoczeniu wytrawnych businessmanów. Jeden bilet sprzedałem Elce za siedemdziesiąt pięć złotych i uważam, że nadwyżka słusznie mi się należała.

Był to zupełnie przyjemny, majowy wieczór: dwunasty maja. Wysiedliśmy (Elka i ja) z tramwaju na rogu Alei. Afisze na słupach ogłoszeniowych, ścianach, szybach wystawowych i parkanach głośiły jedno i to samo:

*The Beatles*  
*Sala Kongresowa*  
*Lucjan Kydryński*

Powoli zapadał zmrok. Pałac Kultury tonął szczytem w gwiazdzistym niebie, tylko w niewielu oknach paliło się światło. Z przystanków tramwajowych, autobusowych i trolejbusowych, od strony Dworca Śródmieście i w ogóle zewsząd grupami nadchodzili wielbiciele Beatlesów. Dużo wysokich chłopców w ciemnych garniturach. Grzywki. Dziewcząt jeszcze więcej. Przeszkłone autobusy przywoziły wycieczki. Elka mówiła do siebie:

— You are a wonderful team. All polish girls...

U wejścia powitał nas ogromny napis:

### *The Beatles visit Warsaw*

— Co to znaczy?

— Beatlesi odwiedzają Warszawę.

W półkolistym hallu przy lustrach tłoczyły się podniecone dziewczęta. Elka wyjęła lusterko z torebki i przejrzała się krytycznie. Potem podała mi lusterko.

— Uczesz się — powiedziała.

Wreszcie weszliśmy na salę. Miejsca nie były złe — parter, niedaleko sceny. Przed opuszczoną kurtyną stały kamery telewizyjne, na balkonach z boku zebrała się obsługa reflektorów. W wielu miejscach rozmieścili się operatorzy z kamerami filmowymi. Aparaty fotograficzne. Magnetofony. Lornetki teatralne inkrustowane masą perłową. Nastrój jednak wcale nie przypominał teatru: na sali była niemal wyłącznie młodzież. W ostatnich rzędach zaczęto skandować: Bi-tels! Bi-tels! Przyłączył się do tego cały balkon, dygocący od miarowego klaskania. Jakiś entuzjasta zadał w blaszaną trąbkę. Oburzeni studenci wrzasnęli: „Cisza!” — i zaraz sami przyłączyli się do skandowania. Elka pomagała im klaskaniem. Podobnie jej ruda sąsiadka i wszyscy dookoła. Wtedy zamknięto drzwi wejściowe. Do kamery telewizyjnej podbiegł operator i przywarł do uchwytów. Zapłonęły reflektory; lampy na suficie żarzyły się czerwono. W kręgu światła, na tle kurtyny, stanął Lucjan Kydryński.

Program toczył się non-stop. Czterej szczupli chłopcy o puszystych włosach dygotali w rytmie gitar i sala drżała w tym samym rytmie. Co chwila, gdy z falujących dźwięków wydobywał się głośniejszy i Beatlesi krzyczeli swoje „Ye, Ye”, z widowni buchał okrzyk. Niektórzy klaskali, ale krzyk był znacznie właściwszą reakcją. Po przerwie okrzyki były częstsze i głośniejsze; przez widownię falami bieгло podniecenie. Milowymi krokami zbliżało się to, co musiało się stać.

Jak już powiedziałem, siedzieliśmy blisko sceny. Dlatego od razu zostaliśmy odcięci od wyjścia. Przejściami, między fotelami i po fotelach publiczność przedzierała się w stronę sceny. Elka po namyśle przyłączyła się do innych. Pobiegłem za Elką. Sala krzyczała. Gwizdy. Wyskoczyłem na fotel. Nim mnie zepchnięto, ujrzałem przy wejściu na scenę szare czapki milicjantów. Potem w szalonym ścisku przepychałem się przez rząd foteli, by wpaść nagle na Elkę w samym środku tłumu. Nowe pchnięcie; jak klin przebiliśmy się przez szereg milicjantów. Drzwi. Schodki. Granatowo ubrany strażak zatoczył się i oparł o ścianę. Wyprzedziło mnie kilku studentów, byli wyraźnie rozbawieni. Pognali w górę. Przez otwarte drzwi wdarł się ryk sali. Tłum wlewał się na schodki. Strażak znikł. Byłem może dziesiąty w szeregu. Mocno pchnięte drzwi z hukiem uderzyły o ścianę. Odbiegli od nich w popłochu wytworni panowie w smokingach. Za nami do salki wpadło jeszcze kilkadziesiąt osób. A potem zobaczyliśmy Beatlesów.

Równiutkim rzędem stali wszyscy pod ścianą. Entuzjastyczne okrzyki ucichły.

Ciężko połyskiwało obłe pudło jakiegoś przyrządu elektrycznego umieszczonego na wózku. Przewody w czarnej gumowej izolacji biegły po podłodze do otwartych kłapek w Beatlesowskich brzuchach. Za kłapkami przełącznik z białą gałką, gniazdko wtyczkowe w bakelicie.



Beatlesi byli robotami.

Wprawdzie gazety dużo pisały o tej sprawie, jednak o jej kryminalnych aspektach niewiele było wiadomo. Korzenie afery tkwiły w Anglii, a Scotland Yard pracował bez rozgłosu. Od czasu do czasu nadchodziły wiadomości o aresztowaniu czterech młodzieńców z Liverpool (później okazało się, że zastępowali oni prawdziwych, automatycznych Beatlesów na przyjęciach, w wywiadach i w ogóle w życiu osobistym), o przesłuchaniu profesora Manchester University, znanego cybernetyka, Jamesa Theobald-Carthy'ego.

Na temat konstrukcji Beatlesów-robotów wypowiadali się specjaliści. Ich zdaniem, maszyny przewyższały znacznie poziomem konstrukcji znane roboty Unimate, o niebo były lepsze od holenderskich URX, a koordynacja ruchów była u nich lepsza niż w oryginalnym, zwykłym człowieku. Zminiaturyzowane elementy zdalnego sterowania musiały być dziełem najlepszych specjalistów na świecie, podobnie zresztą jak znakomicie wykonana powłoka zewnętrzna, do złudzenia przypominająca naskórek ludzki. Lśniące włosy Beatlesów były antenami zarówno zdalnego sterowania, jak i miniaturowych radarów ostrzegawczych. Najbardziej godne podziwu było rozwiązanie układu poruszającego Beatlesów, nadzwyczaj skomplikowanego systemu przewodów hydraulicznych, pomp utrzymujących w nich wysokie ciśnienie, awaryjnych urządzeń zdolnych do sprężania płynu w czasie dziesięciokrotnie mniejszym, niż czyniły to najsprawniejsze sprężarki. Sercem tego wszystkiego był precyzyjny żyroskop, regulujący przepływ płynu przez zespół cybernetyczny, opracowujący natychmiast program dalszego działania.

Głowy Beatlesów zawierały wysokosprawne odbiorniki radiowe, membrana miała wychylenie modulowane dodatkowym urządzeniem — zgodnie z ruchami membrany poruszały się usta Beatlesów (konstrukcja mechanizmów powodujących ruchy twarzy, zmiany jej wyrazu itd. należała do najciekawszych w konstrukcji robotów). Gitary elektryczne, jak się okazało, nie wymagały w zasadzie poruszania strun, grając według zawartego w taśmach programu. Kierowanie Beatlesami zapewniał nadajnik radiowy pracujący na falach ultrakrótkich. Dzięki specjalnym czujnikom we wnętrzu Beatlesów operator miał w każdej chwili dokładny obraz funkcjonowania wszystkich mechanizmów robota. Badając zawarte w nadawczym mikroakulatorze operatora taśmy pamięciowe, eksperci stwierdzili, że nigdy nie zdarzył się wypadek utraty kontroli.

Nadeszły wybory w Wielkiej Brytanii, kryzys laotański i rewolta w Związku Południowej Afryki. Wydawało się, że sprawa Beatlesów na zawsze zejdzie ze stron dzienników i magazynów ilustrowanych, ale oto zaszły nowe wypadki.

Otóż publiczność zgromadzona na występie włoskiego piosenkarza Marino Mariniego ujrzała ze dziwieniem, że solista zaczyna wykonywać na estradzie zupełnie nie skoordynowane ruchy, aby nagle z metalicznym odgłosem upaść na podłogę. Usłudni panowie z pierwszych rzędów pospieszyli z pomocą leżącemu i ulegli porażeniu prądem o wysokim natężeniu. Za kulisami odnaleziono urządzenia do zdalnego sterowania i płaszcz zamszowy, nie zawierający żadnych dokumentów.

Witana entuzjastycznie piosenkarka Brenda Lee wystąpiła po raz pierwszy w Sztokholmie, by raz jeszcze zaszokować swoich wielbicieli. Tym razem ekstrawagancja Brendy była wyjątkowa. W trakcie wykonywania najnowszego przeboju z ust Brendy wybiegła szeleszcząca wstęga taśmy magnetofonowej. Rozkosznie wykrzywiona piosenkarka kontynuowała numer, wyrzucając ze swoich wnętrzności wciąż nowe metry taśmy. Jak poprzednio, za kulisami znaleziono tylko maszynię.

Gwiazdy jazzu zaczęła otaczać powszechna nieufność; prawdziwi miłośnicy muzyki jazzowej wśród publiczności ustąpili miejsca ciekawym inżynierom-elektronikom, tajnym wywiadowcom policji i zdeorientowanej, a żadnej wrażeń młodzieży. Piosenkarze przestali

się golić maszynkami elektrycznymi, gdyż budziło to podejrzenie, że ładują swoje akumulatory. Piosenkarki zrezygnowały ze spiętrzonych fryzur, by uniknąć podejrzenia, że kryją w nich anteny radarowe. Wszyscy starali się jak najczęściej podawać ręce, potykać się i robić inne rzeczy robotom niedostępne.

Najlepsza jednak wola nie zdołała przekonać opinii publicznej. Zupełnie beznadziejne stały się wszystkie wysiłki, gdy wyszła na jaw sprawa Petera i Kay O'Hayesów, małżeństwa dwojga gwiazd piosenki big-beatowej. Oboje okazali się robotami tak udoskonalonego typu, że na przykład Peter miał oryginalny zarost, który musiał golić, a Kay odbywała długie wizyty u nie wtajemniczonych manicurzystek. Wzajemna podejrzliwość ogarnęła wszystkich ludzi. Popularne stały się kieszonkowe wykrywacze fal wysokiej częstotliwości, podobnie jak najtańsze, oprawne w plastik igły magnetyczne wysokiej czułości, reagujące na prąd niskiego natężenia z odległości kilku metrów. Przez pewien czas prostą metodą wykrywania robotów było oświetlanie ich oczu latarką (źrenice robotów nie były wrażliwe na zmiany oświetlenia), jednak tajemniczy twórcy mechanicznych ludzi wyposażyli wkrótce swój najnowszy model nie tylko w zwięzające się w odpowiednich warunkach oczy, ale także w urządzenia do wytwarzania kataru oraz wysypki.

Trzy lata później młodziutki reporter, świeżo wyrzucony z redakcji za swobodne interpretowanie zasad gramatyki, odbył samotną wycieczkę do Kornwalii. Wieczorny wiatr szumiał w koronach drzew. Reporter stał na skraju autostrady i czekał na samochód, który mógłby go zabrać w kierunku Londynu.

Mijały kwadrans. Szybko pędziły autostradą fordys, volkswageny, maleńkie morrissy. Nagle jednak jeden z samochodów zatrzymał się. Był to wielki, staroświecki, szary rolls royce z czerwonymi obiciami wewnątrz. Na tylnym siedzeniu piętrzyły się walizki, które widocznie nie pomieściły się w bagażniku; za kierownicą siedział siwy dżentelmen w czarnym garniturze.

— Dokąd? — zapytał.

Reporter rzekł:

— Do Londynu.

Siwy dżentelmen prowadził wóz ostrożnie, jechali z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. Autostrada zakręcała, wchodząc w las, zupełnie czarny w świetle księżyca. Wtedy potężny silnik przerwał, strzałki spadły do zera, samochód zatrzymał się miękko. Przez uchylone okienko dostał się do wnętrza falujący szum lasu.

— Przypuszczalnie — powiedział dżentelmen — pan także nie zna się na samochodach.

Reporter miał pewne pojęcie o morrisach, ale rolls-royce stanowił dla niego wielką niewiadomą. Więc przytaknął.

— Tak — rzekł siwy pan. — Musimy poczekać na kogoś, kto nam pomoże. Obawiam się jednak, że trzeba będzie długo czekać.

Otworzył drzwiczki schowka pod tablicą przyrządów i wyjął pudełko cygar.

— Zapalimy w samochodzie.

Reporter wziął cygaro. Siwy dżentelmen przycisnął klawisz, zapłonęła skala. Odezwało się radio.

Szła jakaś głośna melodia ze wstawkami piosenek. Reporter postanowił nawiązać rozmowę.

— Coś w rodzaju Beatlesów — rzekł.

Starszy pan się skrzywił.

— Pan myśli o tych robotach, prawda?

Reporter przytaknął. Szosą przejechał szybko wielki samochód. Za zakrętem znikły czerwone światelka. Siwy pan rozmyślał o czymś. Zrobiło się duszno od dymu, nie pomagały otwarte okienka.

— Hm — powiedział starszy pan. — Czy pan przypadkiem nie pracuje w gazecie?

— Nie — odrzekł reporter zgodnie z prawdą.

— To dobrze — rzekł starszy pan, gasząc cygaro. — Będziemy jeszcze długo czekać.

Radio umilkło na chwilę i zaraz zabrzmiała nowa melodia.

— Słyszał pan o komisji Interpolu do spraw robotów? Ja do niej należę. W zasadzie nie powinienem tego panu mówić, ale to już nie ma znaczenia. Za kilka dni...

Siwy dżentelmen umilkł i spojrzał w lusterko. Jechał jakiś samochód. Nie zatrzymał się.

— Za kilka dni i tak wszystko pójdzie do gazet. Mówię o najważniejszym: kto jest twórcą Beatlesów. Niech pan posłucha.

Reporter wyłączył radio.

— Oczywiście, braliśmy pod uwagę tylko wielkie wytwórnie elektroniczne. Nieraz były już takie wypadki: na uboczu właściwej produkcji jakiś zdolny inżynier konstruktor może uzyskać dostęp do maszyn. To nie mogła być tylko sprawa laboratorium: produkcja była seryjna. Więc gang, który opanowuje maszyny po godzinach pracy? Ta sztuczna hipoteza upadła po bliższym zbadaniu. Jednakże prawie oczywiste było, że był to gang mający kontakty w świecie muzycznym, w wytwórniach płyt, w rozgłośniach radiowych. Impresario Beatlesów zniknął naturalnie, ale to nie dało nam jeszcze właściwego rozwiązania, chociaż już wtedy sprawa była prawie jasna. Prawie, to znaczy w tych aspektach, o które nam od początku chodziło. Beatlesi byli jak gdyby prototypami. Prototypami zajmuje się zazwyczaj ich konstruktor. Więc impresario? Zdolności w dwóch dziedzinach? Do obsługi Beatlesów trzeba było być dobrym technikiem, a muzyka to inna sprawa. Więc doradca do spraw muzycznych? I to było niewykluczone.

Poszliśmy więc tą drogą. Uczony o wielkich zdolnościach, wybitny konstruktor — takiej osoby szukaliśmy. Najpierw zajęliśmy się sprawami finansowymi, badaliśmy konta bankowe i szybko odnaleźliśmy takie, które idealnie pasowało do naszych przypuszczeń: periodyczny wzrost, wymiany walutowe, odpowiednia wysokość. Cóż, kiedy nie można było odnaleźć właściciela: od wyjścia na wierzch afery Beatlesów nie utrzymywał z bankiem żadnych stosunków. Ślad się zatem urywał.

Powróciliśmy do poszukiwań w sferach przemysłowych. Badając kartoteki personalne Philips Electronic Ltd. natrafiliśmy na coś, co znowu mogło być śladem.

Odnaleźliśmy zdolnego inżyniera, który opuścił firmę mniej więcej wtedy, gdy powstał zespół The Beatles. Był podobno bardzo zdolny. Firmę opuścił z własnej woli, nie podając żadnych konkretnych powodów. Szukaliśmy więc inżyniera i udało nam się z całą pewnością stwierdzić, że wyjechał z Anglii do Ameryki Południowej. W Ameryce Południowej opuścił statek i ślad się urywał. Przenieśliśmy więc poszukiwania na teren Ameryki Południowej, a jednocześnie zajęliśmy się życiorysem inżyniera. Pan wie: w tego rodzaju sprawach odnalezienie jakiegoś przyjaciela z lat dzieciennych może znaczyć bardzo wiele. Życiorys inżyniera okazał się jednak fałszem. To, co podawał w ankiecie personalnej, zgadzało się tylko w odniesieniu do późniejszego okresu jego życia, już jednak fakt studiowania w Cambridge był nieprawdziwy. Nikt o podanym nazwisku nie był studentem Cambridge w interesującym nas okresie.

Łatwiej poszło nam w Brazylii. Dowiedzieliśmy się, że nasz inżynier zorganizował z kilkoma Anglikami wyprawę do puszczy w dorzecze Amazonki. Nic jednak nie było wiadomo o jego powrocie. Nie odnaleźliśmy też śladu w Wenezueli, Kolumbii, Gujanie i Urugwaju. Agenci, wędrujący domniemaną trasą podróży inżyniera, dotarli pewnego dnia do małego indiańskiego obozu nad Rio Ivahy. Indianie pamiętali tamtą wyprawę: czterech Anglików dotarło łodziami do obozu, podróżnicy pozostawili łodzie i udali się pieszo przez puszcze. Zapowiadali, że powrócą do łodzi. Nie powrócili. Indianie pamiętali jeszcze jeden szczegół. Otóż tego dnia, gdy podróżni odeszli w głąb puszczy, na niebie ukazała się latająca machina. Słuchając opowiadania Indian agenci przyjęli, że tą maszyną był helikopter. Miała ona mieć

jako część zasadniczą srebrzystą tarczę — mógł nią być krąg śmigła. Indianom pokazywano różne zdjęcia helikopterów, nie rozpoznali jednak żadnego typu.

Wydawało się, że należy odszukać cel lotu helikoptera. Helikopter jednak przepadł i nie można było go znaleźć, gdyż po prostu helikopter nie był helikopterem! Nie zwróciliśmy wystarczającej uwagi na inny ważny element w zeznaniach Indian: nie słyszeli oni warkotu silnika. Latająca machina wydawała tylko świst.

Dalej to już tylko problem fantazji. Cóż to za srebrny krąg latający bez warkotu nad brazylijską puszcza? Z czym kojarzy się tajemniczy życiorys, niezwykła precyzja w wykonaniu automatów wyprzedzających ziemskie o kilkanaście lat?

Otóż chodzi tu o latające talerze. Inżynier miał kontakty z Marsjanami lub był sam Marsjaninem, to zresztą sprawa drugorzędna. Najważniejsze było ustalenie, w jakim celu Marsjanie mieliby to robić.

Tego nie wiemy dotąd. I dlatego sprawa nie jest w pełni rozwiązana. Natomiast możemy powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że roboty typu Beatlesów lub ich późniejsze wersje są dziełem istot latających w pojazdach, zwanych latającymi talerzami; umownie stosujemy do nich nazwę Marsjan. Czy bezpośrednio obsługą robotów zajmują się Marsjanie, czy też ich ziemscy współpracownicy — to jeszcze nie zostało wyjaśnione. Ale znacznie ważniejsze są motywy.

Proszę pana, jeżeli intencją Marsjan jest działanie na naszą szkodę, co jest dość prawdopodobne przy ich tajemniczości, to wobec tego big-beat jest dla ludzi w jakiś sposób szkodliwy i należałoby z naszej strony dążyć do zlikwidowania go w ogóle. Jest jeszcze druga ewentualność: że oni chcą badać w ten sposób zbiorowe reakcje. Trudno mi wypowiadać się na temat socjologii, ale to chyba można sobie wyobrazić.

## CZASY TRZYCALOWYCH BEFSZTYKÓW

Stary Tom Higgins podziewał się gdzieś całymi latami, ale wszyscy byliśmy pewni, że prędzej czy później trafi on „Pod Trzech Piratów”. Istotnie: pewnego dnia zjawił się w tawernie i zażądał od Charliego antałka rumu oraz porcji ryby à la rozbitek.

— Co się z tobą działo, Tomaszu? — zapytałem go, bo minę miał ponurą.

Popatrzył na mnie spode łba i oznajmił, że to długa historia. Może i nie wyciągnąłbym więcej ze starego Toma, gdyby rum nie rozwiązał mu języka. Po szesnastym łyku z dębowego antałka Tom powiedział, pokazując z obrzydzeniem swoją porcję ryby:

— Zawsze mówiłem, że ryba to nie potrawa dla matrosa, chłopie. Ale teraz zapomnij o tych przestroгах starego Toma. Powiadam tobie: dziś tylko ryby można jeść bezpiecznie.

Przekleństwo, które tu załączył było zbyt skomplikowane, bym je zapamiętał. W każdym razie z podziwem spojrzałem na Toma, co zachęciło go do mówienia.

— Zaciągnąłem się do załogi niskolotu „Emilia” — zaczął, popijając co trzeci wyraz rumem. — W San Francisco. Chciałem się dostać jak najprędzej do Singapuru, aby pogadać ze starym Bobem Dingiem, który obiecał, że zrobi mnie szyprem na swojej nowej łajbie, ale o to mniejsza. Ledwie tylko zamustrowałem się na stanowisko bosmana, niskolot wyszedł z portu załadowany paroma tysiącami ton tranzystorów dla Singapuru. Z początku wszystko szło dobrze. Lecieliśmy z szybkością dwustu węzłów, pogoda była piękna jak na Florydzie, gdy nagle zawołał mnie Jim Lockhart z kotłowni. „Bosmanie — mówi — coś nie w porządku z uranem. Sypiemy i sypiemy, a reaktor gaśnie”.

Tom Higgins ciężko westchnął w tej chwili.

— Nie chciałem wierzyć chłopakowi — przyznał się ponuro — ale w końcu poszedłem do kotłowni z licznikiem Geigera. W beczkach zamiast rudy uranowej znalazłem szare kamienie powleczone fluoryzującą farbą. Kapitan dał się oszukać dostawcy. Poszedłem więc na mostek, zameldowałem kapitanowi, co się stało, ów pobladł, ale nim zdążył odpowiedzieć, słyszymy głos majtka z bocianiego gniazda: „Ahoj, peryskop w kilwaterze!” „No — powiedział kapitan — mamy szczęście. To jest na pewno okręt wojenny, dostaniemy od niego parę beczek rudy uranowej i nie będzie nawet trzeba wracać do San Francisco”. Rzeczywiście tak wyglądało, okręt podwodny wylazł na powierzchnię, zapytał nas przez głośniki, czego potrzebujemy i czy może nam pomóc. Więc wyjaśniliśmy, co się zdarzyło, a wtedy okręt podwodny wycelował w nas wszystkie swoje rakiety, torpedy i działa. Patrzymy: na peryskop wchodzi czarna flaga z trupią czaszką i piszczelami, a głośnik krzyczy, żebyśmy nie uciekali, bo to i tak nic nie pomoże.

Bosman przerwał na chwilę, ujął oburącz antałek i długo nappełniał swoje gardło rumem. Potem otarł dłonią usta i mówił dalej:

— Ale tym razem stary Tomasz Higgins był chytrzejszy. Gdy tylko zobaczyłem, że to piraci, zrzuciłem na wodę tratwę z żelazną racją i zacząłem wiosłować, ile tylko miałem siły. Piraci byli zajęci abordażem i nawet mnie nie ścigali. Wystrzelili wprawdzie parę rakiet, ale wszystkie trafiły w wielkiego rekina, który właśnie miał ochotę pobawić się ze starym Tomaszem. Postawiłem potem żagiel i zacząłem płynąć kursem na najbliższy ląd. Płynąłem kilka godzin, wreszcie zapadła noc.

Stary Tom przełknął łyk rumu i popatrzył w przestrzeń z niedowierzaniem, jakby raz jeszcze przeżywał przebudzenie.

— Chłopie — powiedział — wiele już przeżyłem, ale tym razem nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Kiedy się obudziłem, tratwa stała przy brzegu rzeczki, gdzie widocznie wepchnął ją przyływ, zaczepiona o gałęzie. Morza nawet nie było widać. Dookoła podzwrotnikowy las. Powiedziałem sobie: „Masz szczęście, stary!” — wziąłem kuferek z żelazną racją i wyszedłem na brzeg.

Tomasz pomyślał chwilę i sięgnął po antałek rumu.

— Ledwie stanąłem na brzegu, woda się zakotłowała, jakby stado rekinów walczyło z dzielnym bosmanem. Odszedłem na wszelki wypadek od brzegu i dobrze zrobiłem, bo zaraz z wody wyskoczył wielki, czarny łeb. Wierz mi lub nie wierz, ale największa ryba tak szybko nie połyka marynarza, jak on rozprawił się z moją tratwą. Stałem z rozdziawioną gębą przez pół godziny, nim powiedziałem do siebie: „Pilnuj się teraz, Tomaszu Higgins! Bardzo by było niedobrze, gdyby ciebie zjadł taki potwór”.

Tom wyraźnie rozpraszał się. Widocznie wypił już zbyt wiele rumu. Nie powiedziałem jednak ani słowa, gdyż nie chciałem obrazić starego marynarza, stawiając mu najcięższy z możliwych zarzutów.

— Chciałbym przez całe życie wypić tyle rumu, ile on połknąłby naraz — powiedział Tom marząco. — Wyląził z wody jak ogromny, podwodny lotniskowiec. Miał grubą na sto dwadzieścia stóp szyję i jeszcze dłuższy ogon. Przyglądałem się jemu z daleka i nagle jakiś głos wewnętrzny powiedział mi: „Ty już kiedyś widziałeś tego zwierza, Tomaszu Higgins”.

Stary marynarz podparł brodę pięściami i siedział tak przez jakiś czas, wdychając wonne opary rumu. Wreszcie powiedział:

— Myślałem chyba przez godzinę i wreszcie poczułem się, jak gdybym z burzliwego oceanu wpłynął na spokojną lagunę. Książka! Widziałem tego potwora na obrazku w książce. Ale w jakiej książce? Czytałem w życiu aż trzy książki: *Spis statków we wszystkich flotach*, następnie ciekawy komiks *Loo wśród ludożerców* i wreszcie starą opowieść o Robinsonie Cruzoe. W żadnej z nich nie było jednak rysunku tego smoka. Myślałem więc dalej i nagle przypomniałem sobie coś, co było bardzo dawno.

Tom powiedział to cicho, jakby zawstydzony. Uśmiechając się nieśmiało, wypił kilka

łyków z antańka i mówił dalej:

— Nie wiem jak ty, chłopie, ale ja kiedyś, jako mały chłopak, chodziłem do szkoły. Wtedy musiałem czytać różne książki i w jednej z nich były właśnie obrazki ze zwierzętami. Na następnej lekcji miało być coś o tych smokach, ale wtedy właśnie uciekłem ze szkoły i zamustrowałem na wodolot „Szkwał” jako chłopiec okrętowy.

Dopiero po tym wyznaniu na twarz Tomasza powrócił wyraz godności wilka morskiego. Zajrzał do pustego już antańka, odstawił go na bok, po czym przywołał Charliego, żądając następnej baryłki rumu.

— Wydawało mi się, że śnię — przyznał się, gdy otworzył pękaty antańka. — Szedłem przez las, potem przez łąkę, a dookoła łąziły i pełzały te wszystkie gady, jedne wielkie jak domy, a inne nie większe od okrętowych szczurów na japońskim statku. Z drzew spadały jaszczurki o błoniastych skrzydłach, a inne czarne diabły latały mi nad głową i skrzeczały. Kilkaset kroków od skraju lasu łąka kończyła się u podnóża góry. Postanowiłem wejść na szczyt i rozejrzeć się dookoła.

Tom raczył się teraz przez dłuższy czas rumem, a z jego wyrazu twarzy poznałem, że za chwilę dowiem się o niezwykłych rzeczach.

— Wszedłem się przez godzinę, za to na szczycie, brachu, znalazłem rzecz, której nigdy bym się nie spodziewał. Szczyt był zaklęśnięty jak krater wulkanu, a wewnątrz, na brzegu betonowego lądowiska dla helikopterów, stał drewniany budynek, mały jak kuchnia na dwuosobowej żaglówce. W domku nie było nikogo, nie było też żadnych mebli, w ogóle nic prócz drewnianej podłogi i otwieranej kłapy w podłodze. Podniosłem tę klapę i zobaczyłem schody. Wszedłem zaraz do wjazdu i zacząłem schodzić w dół krętymi schodami. Schody kończyły się w okrągłej salce, oświetlonej zakurzoną żarówką. W ściankach salki znalazłem siedem drzwi. Za jednymi był korytarz, zupełnie ciemny. Drugie drzwi były zamknięte, trzecie również, dopiero kiedy otworzyłem czwarte, poczułem, że oczy wyłażą mi na wierzch jak głębinowej rybie. Cała góra wewnątrz była pusta, wybetonowana, a w hali tak wielkiej, jak cała „Emilia” razem z masztami, stała maszyna nie podobna do niczego. Powiedziałem sobie: „To prawdziwa niespodzianka, Tomaszu Higgins!”

Tomasz spojrział tęsknie na antańka z rumem, ale mówił dalej:

— Przeszukałem dokładnie całą halę, zanim znalazłem małą, blaszaną tabliczkę przyśrubowaną do wystającej części tej maszyny. Była na niej wymalowana trupia czaszka i zygzaki jak błyskawice. „To pachnie piratami, Tomaszu Higgins” — powiedziałem sobie i chciałem uciekać stąd jak najszybciej, gdy zobaczyłem drugą tabliczkę.

Tom zmarszczył czoło, myśląc o czymś z wyraźnym wysiłkiem. Dopiero po dwóch haustach rumu czoło wygładziło mu się i Tom mógł mówić dalej:

— Napis był w języku angielskim, trochę zatarty, ale mogłem odczytać kilka słów. Pamiętam tylko trzy, zresztą zupełnie niezrozumiałe: *Generator Tensodeformacji Trójzbieżnych*. Zastanawiałem się, co one oznaczają, gdy usłyszałem kroki. Ktoś otworzył drzwi i do hali weszli dwaj ludzie w mundurach naukowców. Zdziwili się bardzo moim widokiem, ale zaraz zaprosili mnie na górę, do helikoptera, a potem zaczęli mnie wypytywać o moje przygody. Gdy opowiedziałem wszystko, spojrzeli po sobie, a potem jeden z nich, z dystynkcjami doktora, powiedział: „Znalazł się pan, bosmanie, w obliczu największego odkrycia wszechczasów. Urządzenie, które pan widział we wnętrzu góry, jest pierwszą Maszyną Czasu, zdolną do dokonywania takich deformacji czasoprzestrzeni, że przedmioty znajdujące się w przeszłości przenoszone są do czasów nam współczesnych. Prehistoryczne gady przybyły na tę wyspę z okresu tak zwanej jury, to jest sprzed stu pięćdziesięciu milionów lat”. Tak, brachu, powiedział ten doktor. A ja pomyślałem: „To jest za trudne dla ciebie, stary Tomie Higgins” — i przestałem słuchać tego, co on mówił dalej. Potem poczułem, że ktoś mną potrząsa, i obudziłem się.

Tom Higgins zrezygnowanym ruchem podniósł do ust antańka pełen rumu.

— Ten doktor powiedział mi: „Bosmanie, największym nieszczęściem świata jest przedludnienie. W dwudziestym pierwszym wieku, w wieku lotów kosmicznych i kolonizacji planet, grozi nam głód. Gdyby nawet zaorać wszystkie kontynenty, wyłowić wszystkie ryby z oceanów, produkować konserwy z owadów i wyciąć wszystkie drzewa prócz owocowych, powtarzam, nawet wtedy, bosmanie, odwleklibyśmy klęskę głodu na lat pięć lub najwyżej sześć. Dzielni nasi astronauty badają j planety Układu, ale niestety, tylko na Marsie odnaleziono roślinność, zresztą zupełnie niezdatną do jedzenia, a to ze względu na cyjanek potasu, który te istoty syntetyzują z lubością w swoich tkankach. Jeżeli nie podejmiemy zdecydowanej akcji, w najbliższych latach grozi nam kanibalizm, bo człowiek, bosmanie, stał się najpopularniejszym zwierzęciem na Ziemi”.

Bosman przez chwilę bezdźwięcznie poruszał ustami.

— Doktor mówił: „Pięć lat temu sytuacja wydawała! się beznadziejna. Zdawało się, że wykorzystaliśmy już wszystkie rezerwy. Pamięta pan, bosmanie, skrzyżowanie pszenicy z burakiem? Nie stać nas wtedy było na marnowanie korzonków! Udało się podówczas zażegnać niebezpieczeństwo, ale zaiste, było to zwycięstwo krótkotrwałe. Zrozumielismy wtedy, że niebezpieczeństwo głodu wiecznie będzie grozić ludzkości, jeżeli jakiś geniusz nie przyjdzie jej z pomocą”. Tu doktor popatrzył na mnie z dumą. „Taki geniusz — powiedział — istnieje”. Muszę ci powiedzieć, że chyba znowu zasnąłbym gdyby nie zapach mięsa, który dobiegał mnie przez uchylone okno helikoptera. Nie opodał paliło się wielkie ognisko, a nad nim piekł się największy kawał mięsa, jaki kiedykolwiek widziałem. Byłem głodny jak rozbitek, który tydzień temu pożarł ostatniego ze swoich towarzyszy. Doktor tymczasem mówił bez przerwy:

„Machina Czasu istniała już od roku, gdy Yasoda, Yoseki Yasoda z głodującej Japonii, oznajmił na konferencji w Tokio: »Nadszedł czas, by uratowała nas przeszłość!« Zaproponował on, by sięgnąć ostrzem leja czasowego w okres jury, aby w ten sposób sprowadzić do naszych czasów pewną ilość prehistorycznych gadów i ich mięsem nakarmić — zgłodniałą ludzkość. »W ten sposób — mówił Yoseki Yasoda — gady wypełnią swoją dziejową misję, ginąc właśnie wtedy, gdy chce tego Natura. Ich śmierć dwojaką przysługę odda ludzkości: raz, że uratuje ją od głodu, dwa, że otworzy drogę do swobodnego rozwoju praprzodkom człowieka — ssakom«. Projekt ten został przyjęty i właśnie dlatego, bosmanie, wyspę dziś zamieszkuje niezwykłe zwierzęta”.

Teraz doktor otworzył szerzej okienko kabiny i wskazał ognisko: „Jeżeli opanujesz swoją senność, bosmanie — powiedział — weźmiesz udział w pierwszej uczcie, do której mięsa dostarczył jurajski dinozaur. Nasi koledzy upolowali go w czasie twojego snu”. Więc wstałem i poszedłem za doktorem. Mięso skwierczało na ogniu, tłuszcz kapał i palił się, opadając kroplami w głąb ogniska. Podano mi zaraz wielki kawał, gorący i trochę osmolony od płomieni.

Tom Higgins z niezwykłą pasją sięgnął po antałek.

— Jakież to było obrzydliwe — powiedział w końcu. — Kto ugryzł choćby kawałek owej pieczeni, rzucał natychmiast resztę na ziemię. Potem zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na ogień ponuro, aż wreszcie najwyższy, w mundurze profesora, stanął przy ogniu i powiedział: „Zgasimy chyba to ognisko, prawda?”

I znowu Tom Higgins zamilkł. Rozglądał się dookoła nieprzytomnie, aż nagle jego twarz stężała, a wzrok stał się stalowy. Poszedłem za jego oczami i zobaczyłem napis:

### **Trzycalowe befsztyki**

— Powiem to tobie, stary przyjacielu — rzekł. — Do tego mięsa dodaje się jakieś proszki, które poprawiają smak, miele się je, miesza z wołowiną, czy ja wiem, z czym jeszcze? Może to i pomaga, nie każdy potrafi odkryć różnicę w smaku. Ale ja potrafię. Czy myślisz, że

to, co w sklepach zwą wołowiną, ma coś wspólnego z tym, co nazywano tak przedtem?

Tomasz Higgins podniósł się chwiejnie zza stołu. Zapłacił Charliemu i wyszedł z tawerny. Tak go widziałem po raz ostatni, ogromnego, barczystego marynarza, ostatniego człowieka Ery Trzycalowych Befszyków.

## PRAWDA O ELEKTRZE

Byliśmy za miastem i bawiliśmy się w Elektrów. Arne zaczął liczyć, kto z nas będzie Elektrem, gdy nad nami rozległ się gwizd lądującej rakiety. Osiadła na ziemi kilkadziesiąt kroków przed nami i chwilę kołysała się na długich jak u pająka łapach.

— Nie znam takiego typu — powiedział Arne. — To widocznie nowy model.

Ja powiedziałem:

— Jeszcze nie widziałem takiej wielkiej rakiety.

Podeszliśmy trochę bliżej. Rakieta ugięła swoje łapy i dotknęła brzuchem ziemi. Była rzeczywiście dziwna. Na jej kadłubie wymalowano czarnym lakierem jakieś znaki.

— Dlaczego nikt nie wychodzi? — zapytałem.

— Głupiś — rzekł Arne. — Najpierw rakieta musi ostygnąć.

Ale bardzo szybko drzwi w brzuchu rakiety otworzyły się, wyskoczyła z nich długa, rozkładana drabinka i zszedł po niej ktoś w hełmie i srebrnym skafandrze. Wyglądał zupełnie jak człowiek. Arne też tak uważał:

— Bardzo dziwnie wygląda jak na Elektra.

Tymczasem pilot zdjął hełm i zobaczyliśmy, że jest rzeczywiście człowiekiem. Arne aż gwizdnął przez zęby ze zdziwienia. W tej chwili pilot nas zauważył i zaczął machać do nas ręką, żebyśmy podeszli do rakiety.

— Może lepiej zwiejemy? — zapytałem.

Arne był innego zdania.

— Chodźmy — powiedział. — Zwiąc zawsze będziemy mogli.

Pilot czekał na nas, siedząc na stopniach drabinki. Gdy się zbliżyliśmy, zapytał o nasze imiona.

— Ja jestem Roy — powiedziałem.

— Ja jestem Arne — powiedział Arne. — A ty jak się nazywasz?

— Tom — pilot uśmiechnął się szeroko i zapytał: — Co tu robicie, chłopaki?

— Bawimy się w Elektrów — szybko odpowiedział Arne.

— Pierwszy raz słyszę — zdziwił się pilot. — Co to takiego: Elektry?

Arnego aż zatkało. Pilot przyglądał mu się przez chwilę, potem przestał się uśmiechać.

— Należy wam się wyjaśnienie, chłopaki — powiedział. — Ja przyleciałem z Ziemi, wcale nie chcę was nabrać. Naprawdę nie wiem, co to jest Elektr.

— Kłamie — szepnął do mnie Arne. — Ziemia? Nie ma takiego miasta.

Pilot tymczasem zrobił taką minę, jak gdyby był jeszcze bardziej zdziwiony niż Arne. Wyciągnął z kieszeni kombinezonu papierowy zwitek i błyszczące pudełeczko. Papier wziął do ust, pstryknął pudełeczkiem i to, co trzymał w ustach, zapaliło się. Nie płonęło wcale tak, jak papier: ogień ledwie był widoczny, za to dymu było mnóstwo. Arne zakaszał.

— No — rzekł pilot zniecierpliwiony. — Ziemia. Planeta w Układzie Solarnym. Bez blagi, możesz mi wierzyć. Powiecie mi teraz o tych Elektrach?

— Aha — zrozumiał Arne. — Ty jesteś z innej planety.

— Właśnie — rzekł pilot i zaciągnął się gryzącym dymem.



Arne odsunął się o kilka kroków i trącił mnie łokciem.

— Niech mnie piorun — szepnął — jeżeli ja potrafię mu wytłumaczyć, co to są Elektry. To chyba wariat.

— A więc? — zapytał pilot. Patrzył teraz na mnie, dlatego odezwałem się:

— Są różne rodzaje Elektrów.

— Jakie?

— Policjanci — rzekłem. — Piloci, Myślotrony i Supermyślotrony, Tranzystowie i Lampowie.

— Aha. Roboty.

Przestraszyłem się.

— Tak nie wolno mówić. To bardzo brzydkie słowo.

Pilot uśmiechnął się niewyraźnie.

— Mniejsza o to. Więc bawiliście się w tych — Elektrów.

— Tak — wtrącił się Arne. — To fajna zabawa. Najpierw liczy się, kto ma zostać Elektrem, o potem może on dawać temu drugiemu różne rozkazy, bo, rozumiesz, tamten jest człowiekiem. Na przykład ma wejść na wysokie drzewo albo złapać trawlika, albo zerwać światłorośl z jakiegoś klombu i nie dać się złapać dozorczy. Potem ten drugi jest Elektrem i może się zemścić.

— Chyba na odwrót? — zapytał pilot. — Ten, co jest Elektrem, ma słuchać człowieka.

Arne umilkł i trącił mnie łokciem.

— Nie — powiedziałem. — Właśnie tak, jak mówił Arne.

Pilot patrzył na nas tak, że poczułem się nieswojo.

— Chyba nie chcecie mnie przekonać, chłopaki — powiedział wolno — że u was maszyny mogą wydawać ludziom rozkazy?

— Nie maszyny — zaprzeczyłem — tylko Elektry.

— A co w takim razie robią ludzie?

— Różne rzeczy. Pracują w sklepach z magneterią albo w elektrowniach.

— Czemu Elektry tego nie robią?

— Bo by się namagnesowali — wyjaśniłem. — Można powiesić na drzwiach kartkę: Uwaga, 1000 gaussów — i żaden Elektr nie wejdzie do środka.

— Gdzie jeszcze pracują ludzie? — zapytał pilot. — Są u was naukowcy? No, tacy faceci, którzy zajmują się fizyką, matematyką i tak dalej.

Spojrzeliśmy z Arnem po sobie.

— Nie — powiedział Arne.

— Może nie ma wcale szkół na tej planecie? Umiecie czytać i pisać?

Arne obraził się.

— Pewnie, że są szkoły — powiedział. — Ale teraz mamy wakacje.

Pilot zgasił papierowy zwitek i wyjął drugi z kieszeni. Ręce mu się trzęsły, ale nie ze strachu, tylko ze złości. Pomyślałem, że może lepiej by było uciec już teraz, ale nie chciałem tego powiedzieć Arnemu, żeby nie pomyślał, że się boję. Pilot wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po trawie.

— Kto rządzi waszą planetą?

— Prezydent — powiedział Arne.

— Mam nadzieję, że jest to człowiek?

Arne wytrzeszczył oczy.

— Więc kto jest prezydentem, do diabła?

— Supernadmyślotron — rzekł Arne niepewnie.

Pilot był solidnie rozłoszczony, ale nic nie powiedział, tylko zaczął chodzić coraz szybciej tam i z powrotem. Po jakimś czasie uspokoił się i usiadł ciężko na drabince.

— Słuchajcie, chłopaki — rzekł. — Albo ja zwariowałem, albo na waszej planecie dzie-

je się coś niedobrego. Zawsze uważałem, że to niezły skandal, że statki z Ziemi odwiedzają gwiazdne kolonie nie częściej niż co dwieście lat, ale nawet nie przyszło mi do głowy, że przez ten czas może dojść do... do buntu maszyn, bo coś takiego u was musiało się zdarzyć. Dlaczego ludzie słuchają rozkazów tych Elektrów?

Arne ubiegł mnie znowu:

— Bo oni są mądrzejsi.

Pilot zaklął tak okropnie, że ani ja, ani Arne nie potrafiliśmy zapamiętać tego, co powiedział. Miałem taką ochotę zwać, jak nigdy przedtem.

— Dobra — opamiętał się pilot. — Nie powinienem się na was złościć. Ale zrozumcie przynajmniej, że mówiliście bzdury. Elektry to maszyny, które wprawdzie umieją szybko liczyć, ale na pewno, do stu tysięcy parseków sześciennych próżni, nie ma i nie będzie maszyny mądrzejszej od człowieka. Zresztą to ludzie je zbudowali, a nie odwrotnie.

— Właśnie, że odwrotnie — uparł się Arne.

Pilot miał zamiar zakląć, ale się opanował i nawet uśmiechnął się do Arnego.

— Gdybyśmy mieli trochę więcej czasu, sam potrafiłbym zrobić takiego myślącego diabła.

— Nieprawda — powiedział Arne. — Żaden człowiek nie potrafi. Mój wujek próbował zrobić tranzystor i nic mu z tego nie wyszło. A Elektry są bardzo mądrzy. Sam znałem policjanta, który potrafił pomnożyć w pamięci dwadzieścia cztery tysiące pięćset osiemdziesiąt dwa przez piętnaście tysięcy sto cztery i wychodziło mu zawsze trzysta siedemdziesiąt jeden milionów dwieście osiemdziesiąt sześć tysięcy pięćset dwadzieścia osiem.

Pilot milczał jakiś czas. Za to Arne odezwał się znowu:

— Albo mój kuzyn Al. On znalazł zardzewiały kadłub Elektra na jakimś śmietniku.

— Tak? — zainteresował się pilot.

— Naprawił go i włożył na siebie — powiedział Arne ze smakiem. Opowiadał o tym chyba tysięczny raz i zawsze tak samo. — Potem poszedł do Klubu Elektrycznych Policjantów, tam gdzie są takie śmieszne stoliki w kratkę i na nich gra się w szachy. Jeden Elektr zaczął grać z Alem w te szachy. Al opowiadał, że Elektr od razu poznał, że Al jest człowiekiem, bo Al robił ciągle głupstwa i stracił dwa konie przez nieuwagę. Ale nie powiedział nic i zaprosił go do baru na trzysta woltów w impulsie prostokątnym. Al wetknął swoją wtyczkę w gniazdko i tak go kopnęło, że miał dosyć.

Pilot zagryzł usta.

— Więc — powiedział — jest wam diabelnie dobrze na tej planecie. Pewnie wcale nie chcielibyście, żeby było inaczej, prawda? Roy, chcesz mieć robota, który by musiał robić, co mu każesz?

Pomyślałem trochę i zaczęło mi się to wydawać bardzo przyjemne. Powiedziałem, że chcę. Pilot rozjaśnił się trochę.

— A ty, Arne?

— On chodziłby zamiast mnie do szkoły? — chciał się upewnić Arne.

Pilot znowu zmarszczył czoło.

— Nie.

Arne był zawiedziony, jednak powiedział, że chciałby.

— Ale u nas nie wolno mieć robotów.

Zamilkliśmy. Pilot zaciągnął się błękitnym dymem, jak gdyby była to największa przyjemność na świecie. Arne nie mógł na to patrzeć. Podszedł do jednej z nóg rakiety i zaczął ją oglądać bardzo dokładnie. Po chwili pilot zapytał:

— Chyba nie wszyscy ludzie słuchają grzecznie tych Elektrów? Tylko nie bujajcie, mówiliście przecież, że istnieje policja.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, i oczywiście znowu Arne zdążył się wtrącić, chociaż był o kilka kroków dalej:

— Mój stryj Leo był kamerdynerem u jednego elektromózgu przy ulicy Duodiody. To był stary Lamp, bez żadnego tranzystora. Stryj Leo opowiadał mi o nim mnóstwo śmiesznych rzeczy. Ten Lamp okropnie bał się piorunów i podczas burzy nie pozwalał uziemiać sobie chassis, żeby piorun go nie przepalił.

— Ciekawe — rzekł pilot. — I co dalej?

— Pewnego razu stryj był bardzo zły na tego Lampa — rzekł Arne — i na złość nie odłączył mu uziemienia. Akurat wtedy uderzył piorun i staremu popękały wszystkie ekrany. Stryj musiał za to przez rok kręcić dynamo.

— Bez przerwy?

— No, nie — powiedział Arne. — Sędzia skazał stryja na mnóstwo kilowatogodzin i stryj musiał tyle wykręcić na tym dynamku. Chodził kręcić codziennie wieczorami.

— Aha — mruknął pilot.

Arne usiadł na trawie naprzeciwko niego i przechylił głowę do tyłu, żeby zobaczyć czubek rakiety. Ja śmiałem po uszy opowiadań Arnego, więc skorzystałem z okazji i zapytałem pilota:

— Ty sam przyleciałeś z Ziemi?

— Niezupełnie — powiedział pilot. — Na orbicie jest statek, nazywa się „Norbert Wiener” i ma trzysta czternaście metrów długości, licząc od dzioba do nasady zwierciadła. To, co widzisz, jest tylko raketką zwiadowczą. W górze zostało dwunastu ludzi i dziesięć robotów. Dowodzi tym wszystkim komandor Lagotte, i niech mnie trafi sto kilogramów antimaterii, jeżeli nie jest on człowiekiem z krwi i kości.

— I roboty muszą słuchać ludzi?

— Jeszcze jak. Chodzą jak w zegarku.

— Ziemia jest bardzo daleko stąd? — zapytał Arne.

— Światło leci od Słońca do waszej planety przez dwadzieścia trzy lata. My lecieliśmy dwadzieścia pięć.

— O, rany — rzekł Arne, ale miał taką minę, jak gdyby wcale nie wierzył pilotowi. — Łże — szepnął do mnie. — On sam wygląda na najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Tymczasem pilot spojrział na zegarek, zupełnie zwyczajny, i powiedział, że musi teraz wejść do rakiety.

— Jeżeli chcecie zobaczyć, jak jest w środku, to chodźcie — powiedział. — Tylko ostrożnie, bez kawałów.

Weszliśmy na górę po drabince. Bałem się trochę, ale Arne wszedł do środka, więc nie mogłem być gorszy od niego. Wewnątrz był pionowy szyb, w którym można było wspinać się po klamrach, a w jego ścianach otwierały się drzwiczki do kabin. Na samym dole gruba płyta zamykała przejście. Pilot powiedział, że za nią jest silnik i reaktor.

Potem pilot zostawił nas samych i poszedł do jednej z kabin na górze. Gdy znikł w kabinie, Arne powiedział, żebym był cicho i zaczął wdrapywać się do tej kabiny. Potem zajrzał przez otwarte drzwi i szybko zjechał na dół.

— Roy — powiedział cicho — ten pilot kłamie.

— No?

— Kłamie, jak nie wiem co. Nie jest z żadnej Ziemi. To, co mówił o Elektrach, to blaga. Jak nie wierzysz, zajrzyj sam do środka.

Zbladłem chyba, ale zrobiłem tak, jak mówił Arne. Rzeczywiście, pilot siedział w dużym fotelu, przed tablicą wielkiego Elektra, jakiegoś supermyslotronu, warczącego i błyskającego ekranami. Miał na tablicy napis: Radiostacja, pewnie tak się nazywał. Nie widziałem jeszcze Elektra, który by wyglądał bardziej groźnie. Mówił coś ostro do pilota, a on odpowiadał ciągle: „Tak jest, panie komandorze” — i nie było żadnych wątpliwości, kto z nich słucha czyich rozkazów. Wróciłem zaraz na dół, gdzie czekał Arne.

— A ja mu tyle naopowiadałem — powiedział Arne. — Wiejemy?

— Najszybciej, jak można.

Zsunęliśmy się po drabinie i byliśmy bardzo szczęśliwi, że udało się nam uciec.

## BYŁEM MUNDUREM PANA PUŁKOWNIKA

Mój przyjaciel, były minister wojny Republiki Kapelandu, już dawno porzucił politykę, by spędzić resztę życia w swojej wiejskiej posiadłości. Odtąd widywałem go rzadko, gdyż liczne obowiązki zatrzymywały mnie w stolicy. Szczęśliwie miałem jednak trochę wolnego czasu, gdy przyszedł list, w którym mój przyjaciel zapraszał mnie do siebie.

Mieszkał w ponurym domu wśród lasów, z dala od autostrad. Było już ciemno, gdy zatrzymałem mój samochód przed kutą w żelazie bramą. Automatyczny odzwrotnik wziął ode mnie bilet wizytowy i w chwilę potem brama otworzyła się na oścież, ukazując podjazd wiodący do gmachu.

Podjazd prowadził przez park, ciemną aleją. Ogromne, stare drzewa splotły się konarami, zawieszając nad moją głową sklepiony strop. Jechałem ostrożnie przez ciemność pełną poplątanych cieni uciekających w tył w świetle reflektorów. W pewnej chwili zobaczyłem drewnianą budkę przytuloną do pnia; stał w niej robot wojenny starego typu, spowity w przetykaną liśćmi siatkę maskującą. Jechałem dalej, ale teraz, może pod wpływem niezwykłego spotkania, w gmatwaninie kształtów doszukiwałem się konturów wojennych machin, pagórkowatych bunkrów wysuwających jak żądła długie lufy dział. Potem drzewa się rozstały i ujrzałem ciemną bryłę gmachu.

Pan domu czekał na progu w galowym mundurze z odznaczeniami. Jego twarz w wątłym świetle lampki palącej się przy wejściu wydawała mi się niezwykle postarzała. Przeszliśmy przez wielki hall, potem mrocznym korytarzem do pokoju, gdzie czekał zastawiony z dużym gustem stół. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, ale ciągle odnosiłem wrażenie, że mój przyjaciel myśli o czymś innym. Miał zapewne jakieś poważne zmartwienie, które nie pozwalało rozchmurzyć się jego twarzy. Siedział sztywno, brzęcząc orderami, gdy sięgał po kieliszek wermutu, a następne kieliszki nie czyniły go weselszym, tylko dodawały mu nieopiętej czujności. W miarę upływu czasu widziałem coraz wyraźniej rysujący się w jego oczach z a m i a r.

W pewnej chwili minister zwrócił się do mnie:

— Pamiętasz? — zapytał krótko.

Chciałem odruchowo potwierdzić, ale spostrzegłem, że, nie wiadomo czemu, do tej odpowiedzi mój przyjaciel przywiązuje dużą wagę. Więc milczałem.

— Dwudziesty pierwszy sierpnia — powiedział minister. — Bitwa pod La Caerta.

Wtedy zrozumiałem. Rocznicy największej bitwy ostatniej wojny z Kubylią nie świętowano już od lat w Republice. Mój przyjaciel nie mógł się z tym pogodzić. Czyżby od lat, o tej porze, ubrany w galowy mundur zasiadał samotnie do uroczystej kolacji? Milczałem taktownie, minister nie wracał do tego tematu. Gdy wybiła północ, podniósł się zza stołu.

— Przygotowałem dla ciebie pokój na drugim piętrze — powiedział. — Okna wychodzą na park. Za dnia jest to bardzo przyjemny widok.

Jak cały dom, i ten pokój okazał się dość ponury, o ścianach wyłożonych ciemną boazerią, z ciemnymi meblami w dobranym odcieniu i ogromnym oknem osłoniętym roletą i dwiema ciężkimi storami. Przy oknie stało coś podobnego do wysokiej szafki stojącego, wagowego zegara. Sprzęt ten był okryty zielonym pokrowcem.

Przy pożegnaniu zobaczyłem na twarzy mego przyjaciela lekki uśmiech, którego nie

potrafiłem zrozumieć. W oszklonej małej biblioteczce znalazłem zaledwie trzy książki, pozostawione tu chyba przez zapomnienie: opowiadania Poego, stary egzemplarz Dumasa z pożółkłymi kartkami i, równie stosowną, jak poprzednie, ponurą rzecz pewnego kapelandzkiego autora. Przeglądałem je przez jakiś czas, a potem zaciekała mnie okryta pokrowcem szafka. Z pewnym trudem zdjąłem zieloną płachtę i zobaczyłem wewnątrz oszklonej gabloty figurę człowieka.

Nie był to zresztą ani człowiek, ani robot. Wydawał się być dokładnie odtworzonym portretem żołnierza lat wojny z Kubylią, z twarzą ocienioną ogromnym hełmem, lekkim, malowanym w zielono-brązowe plamy pancerzem na piersi, wreszcie z ciężkimi butami przechodzącymi w metalowe nagołenniki. Chciałem obejrzeć go dokładniej, otworzyłem więc drzwiczki gabloty, a wtedy zobaczyłem na piersiowym pancerzu białą, plastikową gałkę przykrytą opadającą klapką.

Zaciekało mnie to odkrycie, świadczące, że wewnątrz figury ukryty jest jakiś mechanizm. Byłem zapewne pod wpływem alkoholu, który odjął mi zwykłą rozwagę, dość że nie wahając się nawet, przekręciłem gałkę słysząc słaby trzask przełącznika.

Wewnątrz martwej dotychczas postaci rozszumiały się prądy. W chwilę potem stwór drgnął i wykonał lekki ruch głową. Szklany wzrok spotkał się z moim, żołnierz rozejrzał się po pokoju, by zaraz potem szybkim krokiem wyjść z gabloty i zatrzymać się o trzy kroki przede mną. Poczulem się nieswojo.

— Kim jesteś? — zapytałem tonem, jakim zwykle zwracam się do robotów.

Żołnierz odpowiedział:

— Byłem mundurem pana pułkownika.

Nie potrafiłbym przekonywająco opisać, jak doszło do tego, że niezwykła postać, stojąc lub przechadzając się po pokoju ciężkim krokiem, opowiedziała mi swoją historię. Mógłby to być nader interesujący przyczynek do psychologii robotów, którym po trosze okazał się mój towarzysz. Opowiadał bardzo ciekawie, z talentem, i bardzo żałuję, że nie potrafię powtórzyć dosłownie jego opowiadania.

— Pułkownik Kethon — zaczął — był oficerem pułku piechoty kapelandzkiej, odznaczonym wielokrotnie za zasługi na polu walki, człowiekiem niezwykłych zalet, godnym swojego munduru, którego nigdy nie splamił. Miał on jednak poważny mankament nie pozwalający mu na wykorzystanie w pełni swoich zdolności: po prostu nie był dobrym piechurzem i nie potrafił przemierzać wielu kilometrów dziennie bez zmęczenia, aby dać swoim żołnierzom dobry przykład. Gdy odziedziczył zatem dość pokaźny majątek po swoim stryju, zamówił w firmie Mills Electronic Co. mnie, to znaczy Uniwersalny Mundur Polowy, wyposażony w elektryczny napęd, dzięki któremu mogę poruszać się, odciążając mięśnie człowieka, który ma mnie na sobie, a ponadto posiadający mózg dowódczy, specjalnie przystosowany do celów wojskowych. Nie chcę się chwalić, ale mózg, który posiadam, przechodził szkolenie taktyczne na poziomie dorównującym Akademii Sztabu Generalnego, wobec czego mogłem być doskonałym doradcą mego pana w najtrudniejszych nawet okolicznościach. Kosztowałem wprawdzie czterysta tysięcy dolarów, ale pułkownik Kethon zapłacił tę sumę bez wahania i nigdy nie żałował tego wydatku. Nie było odtąd szczęśliwszego oficera niż pułkownik Kethon, a martwił go tylko przedłużający się nienormalnie okres pokoju między Kapelandem a Kubylią.

Gdy wreszcie wojna została wypowiedziana i nasze wojska przekroczyły granicę wrogiego kraju, ja i pułkownik Kethon staliśmy się nierozłącznymi towarzyszami. Razem maszerowaliśmy we dnie, razem odpoczywaliśmy na biwakach, a nawet często sypialiśmy razem. Długo w noc ciągnęły się nasze rozmowy. Pułkownik lubił słuchać, jak opowiadałem mu z pamięci treść licznych artykułów z „Przeglądu Wojskowego” lub „Biuletynu Naczelnego Wodza”, a gdy mój pan czuł się zmęczony ważkimi problemami, śpiewałem mu jego ulubione wojskowe piosenki. Potrafiłem ocenić odległość, w czas odczuć zbytnie stężenie trującego

gazu, ostrzec mojego pana przed atakiem samolotów, podpowiedzieć mu właściwe słowo, gdy przemawiał do swoich żołnierzy. Dzięki mnie pułkownik zwyciężył także w dywizyjnych mistrzostwach brydżowych i dzięki mnie otrzymał sześć nowych wysokich orderów za sprawne dowodzenie swoim oddziałem. Pułkownik nazywał mnie Unem — od: uniform. Często mawiał: „Un, jesteś wymarzonym przyjacielem żołnierza”. Nie mogłem sobie życzyć większej pochwały. Razem zdobywaliśmy Niwarę i fort Cachin, uczestniczyliśmy w pierwszej linii w bitwie pod La Caerta, forsowaliśmy nocą Rio Drange, wraz z pancerną brygadą generała Grassa spieszyliśmy z pomocą Dwunastej Brygadzie Spadochronowej, a gdy front się ustalił wzdłuż rzeki Razonny, razem czekaliśmy w okopach na rozkaz ofensywy. Pułkownik Kethon kilkakrotnie proponował, że przedstawi mnie do odznaczenia, ale odmawiałem, w pełni zadowolony tym, że mogę nosić na piersi odznaczenia mojego pana.

Pewnego dnia pułkownik Kethon, wypiwszy zbyt wiele, w rozmowie z jednym ze swoich oficerów, kapitanem Trabbssem, nieostrożnie wspominał o moim istnieniu. Kapitan Trabbs, o którym nie potrafiłbym powiedzieć nic dobrego, zapragnął mnie zdobyć; liczył zapewne na to, że będzie mnie mógł wysłać w bój, sam ukrywając się bezpiecznie na tyłach. Pewnej nocy, gdy pułkownik leżał na polowym łóżku w swoim schronie, Trabbs zakradł się do bunkra i ubrał się we mnie, korzystając z tego, że pułkownik przed snem wyłączył mnie, chcąc mi także dać możliwość wypoczynku. Trabbs nie przypuszczał jednak, że okażę się lojalny wobec mego pana. Gdy tylko zostałem włączony i przekonałem się, że jestem we władzy uzurpatora, ruszyłem czym prędzej do mojego pana. Trabbs próbował z początku siłą odwieść mnie od mego zamiaru, jednak jego mięśnie nie mogły się mierzyć z potężnymi motorami poruszającymi moje nogi i ręce; zaklinał mnie obiecując miliony kilowatogodzin prądu, najlepsze smary i numery „Przeglądu Wojskowego” do czytania, ale głuchy na jego rozpaczliwe prośby, doprowadziłem go przed oblicze pułkownika. Kethon miał z początku zamiar za moją radą wrzucić kapitana w wody Razonny, lecz uległ prośbom łajdaka i zadowolił się wysłaniem go na rozpoznanie nadbrzeżnych umocnień wroga.

Innym znów razem, gdy nasz pułk próbował zdobyć przyczółek na drugim brzegu rzeki, celny pocisk uszkodził jeden z moich silników, unieruchamiając moją prawą nogę. Pułkownik z trudem zdołał wydostać się ze mnie i, w świetle skrzyżowanych reflektorów, ostrzeliwany z karabinów maszynowych i moździerzy, włókł mnie za sobą, aż dotarliśmy w bezpieczne miejsce. Jeżeli przyjaźń poznaje się w najcięższych warunkach, na polu walki, to jestem pewien, że ja i pułkownik Kethon byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

Czasem nasze rozmowy sięgały osobistych tematów. Poznałem dzięki temu wspaniałą postać pułkownika Kethona zapewne lepiej niż ktokolwiek inny. Ze swojej strony opowiadałem pułkownikowi o moim życiu od chwili, gdy zostałem włączony po raz pierwszy i czułem, jak wypełniają mnie falujące prądy, które zaraz zaczęły układać się w pierwsze słowa: dioda... elektroda... to elektroda diody... Mówiłem o Szkole Mózgów Elektronowych, o moich pierwszych kolegach: mózdzku rakiety balistycznej, mikromózdzku, który miał być wykładowcą w Państwowej Szkole Kaprali Dyplomowanych i uroczej mózdzycze — przyszłej sekretarce Elektroszefa Sztabu Generalnego. Wspominałem sierżanta Brycka, który uczył mnie musztry nie szczędząc określeń typu: „Ty pokracczna superheterodyno na wybrakowanych tranzystorach” oraz bardzo nerwowego wykładowcę taktyki, majora Barannowitza: gdy zdarzyło mi się popełnić błąd, natychmiast otwierał moją czaszkę i pakował się do środka z gorącą lutownicą, czego bardzo nie lubiłem.

Pułkownik dawał mi do czytania książki, dzięki czemu uzupełniłem moją znajomość literatury pięknej, chociaż przyznaję, że nad beletrystykę przekładałem książki z zakresu elektroniki. Dyskutowaliśmy o literaturze, szanując wzajemnie swoje poglądy, ale byliśmy zgodni co do jednego: nienawidziliśmy obrzydliwych *Przygód dobrego wojaka Szwejka*.

Pamiętnej nocy dwunastego września o godzinie trzeciej po północy na prawym skrzydle naszego pułku weszło oślepiające słońce atomowej eksplozji, i wnet przetoczyła się

nad nami fala straszliwego podmuchu. Zdradziecki atak Kubylijczyków przyniósł nam ogromne straty. Nieprzyjaciel przerwał front i zmusił nasze wojska do odwrotu. Tej nocy pułkownik Kethon zdołał zebrać przy sobie połowę oddziału, ale nie mógł stawiać czoła przeważającym siłom wroga. Cofaliśmy się przez ciemny las, z którego obu stron płonęły łuny, wciąż słysząc grzmot strzałów i łoskot gąsienic nieprzyjacielskich czołgów. O świcie dotarliśmy do przeciwległego skraju lasu i zobaczyliśmy przed nami stanowiska nieprzyjacielskiej piechoty. Pułkownik postanowił przebić się, ale za moją radą odłożył tę próbę na wieczór. Tymczasem wystawiliśmy silne patrole i pułk legł do zasłużonego odpoczynku.

Pułkownik zdjął mnie, aby dokładnie sprawdzić wszystkie moje agregaty przed ogniową próbą, która miała nadejść wieczorem. Nagle zupełnie niespodziewanie zwała się na las salwa pocisków moździerzy. Byłem wyłączony i nie mogę powiedzieć, co się stało; gdy ożywił mnie trzask przełącznika, zobaczyłem mojego pana ciężko rannego, który ostatkiem sił zdołał obrócić gałkę. Powiedział: „Un, teraz w tobie jedyna nadzieja...” Nie mógł mówić dalej, ale zrozumiałem jego wolę.

Robot zamilkł i trwał tak przez chwilę, w ciągu której — zdawało mi się — widziałem na jego metalowej twarzy smutek walczący o lepsze z dumą.

— Pułk wydostał się z okrążenia — powiedział w końcu. — Gdy żołnierze zobaczyli przed frontem dobrze sobie znaną postać, wstąpił w nich duch walki godny mojego pana. Wróg nie zdołał wymierzyć ponownie swoich granatników, a już nasze tyraliery dopadły jego okopów. Było to wspaniałe zwycięstwo, godne opisu w podręcznikach taktyki obok bitwy pod Kannami, Maratonem i Austerlitz. Potem w ciągu długich dni i nocy maszerowaliśmy na południe i przez ten czas prowadziłem mój oddział od zwycięstwa do zwycięstwa.

Starłem się nie zrobić zawodu pułkownikowi Kethonowi ani moim drogim wykładowcom ze Szkoły Mózgów Elektronowych. Odnosiłem się do żołnierzy w myśl zaleceń poczciwego sierżanta Brycka. W dyskusjach z oficerami stosowałem metody uczonego majora Barannowitza. Gdy nie starczało osobistego przykładu, sięgałem do artykułów „Przeglądu Wojskowego” zapisanych w kryształach mojej pamięci. Jedynie w stosunku do kapitana Trabbsa nie korzystałem z żadnych wzorów.

Muszę tu powiedzieć, że kapitan Trabbs zachowywał się co najmniej dziwnie. Czasami ukradkiem obserwował mnie zza krzaków, co widziałem dzięki oku w tyle głowy. Kiedy indziej znów wdawał się z oficerami w prowadzone szeptem rozmowy, przerywane, gdy podchodziłem bliżej. Nie podobało mi się to wszystko, ale obawiałem się działać zbyt zdecydowanie, zwłaszcza po owym pamiętnym dniu, gdy zostałem przeszyty (na oczach kapitana Trabbsa) sześcioma pociskami karabinowymi, które nie wyrządziły mi żadnej szkody. Chociaż później starannie załatałem rany kawałkami blachy i brezentu, wołałem od tej chwili unikać kapitana.

Po tygodniu dotarliśmy w pobliże linii frontu. Z daleka niósł się huk armat, świadczący, że nasze oddziały stawiają wrogowi zacięty opór. Przed nami leżało trawą porośnięte zbocze wzgórza, które musieliśmy przebywać, aby połączyć się z naszym wojskiem. Na szczycie wzgórza, w cieniu kilku samotnych drzew, wróg ustawił swoje karabiny maszynowe. Zrozumiałem, że nadszedł wreszcie dzień decydującej bitwy.

Udało nam się zaskoczyć wroga. Kubylijczycy nie spodziewali się ataku z tej strony; gdy odwrócili karabiny maszynowe, było już za późno. Nasi żołnierze zerwali się do ostatniego skoku, biegłem razem z nimi, gdy nagle poczułem uderzenie w skroń i zobaczyłem przed oczami zieloną sinusoidę drgań gasnących. Podbiegł do mnie sanitariusz. To, czego zawsze się obawiałem, stało się.

Czy mam dodać, że od nikogo nie doczekałem się wdzięczności? Wyłączono mnie haniebnie i, nie naprawiony, rdzewiejący, leżałem długie lata w armijnym magazynie mundurowym. Panu ministrowi wojny zawdzięczam, że żyję; naprawdę żałuję, że jestem dla niego o kilka numerów za duży.

Lecz mniejsza o niewdzięczność, sto razy bardziej oburza mnie podłość kapitana Trabbsa, który powążył się oskarżyć pułkownika Kethona o dezercję z pola walki. Ośmiela się on twierdzić, że Kethon oddał mi pułk pod komendę powodując się zwykłym tchórzostwem w obliczu wroga. Dlatego, nieznanego gościu, czułem się obowiązany opowiedzieć tobie prawdę, abyś opowiadał ją innym, a oni, by przekazali tę opowieść dalej. Ja, który miałem zaszczyt być ulubionym mundurem najdzielniejszego pułkownika Republiki Kapelandu, nawet wyłączony nie zaznam spokoju, póki choćby najmniejsza plama zostanie na jego honorze.

## DZIEWIĘDZIESIĄT MILIARDÓW KILOMETRÓW OD SŁOŃCA

Tego dnia przestał pracować silnik i wszystkie strzałki w kabinie skoczyły: nieważkość. Nareszcie mógł wyjść na zewnątrz statku. W służbie, na szafie ze skafandrami, zebrała się warstewka delikatnego kurzu, który uniósł się teraz w górę puszystym obłokiem, aż pochłonięły go brzęczące u sufitu wentylatory. Zamknął przyłbicę hełmu, ostrożnie, ślizgając się na magnetycznych podszewkach, podszedł do luku i zaczął obracać korbę ręcznego bezpiecznika. Musiał wykonać dziesięć obrotów, zanim automaty przejęły kontrolę nad wejściem, czerwono zapalił się napis: „Próżnia” — i kompresory zaczęły wsysać powietrze, aby najmniejszej nawet drobinie nie wypuścić w przestrzeń. Potem ogromna kłapa drgnęła i otworzyła się, układając przed nim pomost ku gwiazdom.

Odpłynął od statku, pchnięty odrzutem plecowej rakiety, aż czterystumetrowa lina napięła się i zatrzymała go na elastycznej uwięzi. Czuł, jak chłód otoczył go zewsząd, jak ciepło odpływa z jego skafandra, pożerane przez przestrzeń. Chciał otrzeć ręką czoło, zatrzymał dłoń przy szybie. Statek, podobny do grzyba, z tępym łbem okutym grubym, przeciwradiacyjnym pancerzem, płynął bezwładnie przez noc, o dziewięćdziesiąt miliardów kilometrów oddalony od Słońca. Dookoła gwiazdy, rozdeptane mgławice, świetlne iskierki i chmury iskierek, żadnej tarczy, żadnego Słońca, żadnego Księżyca i żadnej Ziemi. Niewyobrazalny mróz. Dzięki niemu próżnia wydawała się czarną wodą, zgęszczoną okropnym ciśnieniem i chłodem. Temperatura na zewnątrz: —273 stopnie Celsjusza.

Gdy wracał na statek, w przelocie spojrzął na swoją rękawicę. Wiedział, że dookoła nie ma niczego, oprócz pojedynczych atomów wodoru, kilkaset w centymetrze sześciennym, ale nie mógł opanować uczucia, że przestrzeń przenikła jego skafander i jego ciało, aby w jego wnętrzu zostawić drobinę, nie większą od atomu, molekuly, ale w jakiś sposób obcą i groźną. Wiedział, że dookoła nie ma niczego, lecz, gdy spojrzął na rękawicę, zobaczył na białej tkaninie z nylonu, chroniącej z zewnątrz skafander, mgiełkę drobniutkiego pyłu, tak drobnego, że wydawał się niematerialny — cień rzucany przez pajęczynę, nic więcej. Kłapa włazu zamknęła się. Była pokryta od wewnątrz srebrzystym szronem jak kryształkami soli.

Miał wiele zajęć. Całymi dniami pracował w obserwatorium, gdzie ogromne teleskopy chwyciły w swoje czarne tubusy promieniowanie kosmiczne i światło dalekich gwiazd, i radiowe sygnały zza granic Galaktyki. Wieczorami, gdyż regulamin nie pozwalał mu dowolnie wybierać pory dnia, oglądał programy telewizyjne z Ziemi, które potrzebowwały osiemdziesięciu godzin, aby osiągnąć jego statek. Lubił westerny, więc codziennie miał w programie krótki film z Dzikiego Zachodu. Radiogramy wysyłał co tydzień, redagował je w soboty i uważał sobotę za najgorszy dzień tygodnia. Aby to sobie powetować, żądał w sobotę butelki wermutu do obiadu i pił wino przez całe popołudnie.



Nocami sypiał niedobrze. Wydawało mu się — a może nie było to złudzenie? — że z wnętrza statku dobiegają odgłosy, potrzaskiwania, jak gdyby ktoś łamał kawałek po kawałku drewnianą listwę. Musiał zresztą przyzwyczać się do tego — nie wiedział, dlaczego to takie trudne — że statek żył nieustannie ciągłym krążeniem prądów, płynów hydraulicznych i warkotem wentylatorów wymieniających powietrze. Nie potrafił nigdy wyobrazić sobie statku jako całości. Myślał o oddzielnych agregatach: ogrzewanie, tlen, stabilizacja przestrzenna, energia, urządzenia kuchenne, przeliczniki w sterowni — jak gdyby były one ładunkiem statku, a nie po prostu nim samym. Zawsze myślał o tym przed snem i, co gorsza, śnił o tym również.

Pewnego poranka, jeszcze klejącymi się od snu oczami, zobaczył na ścianie plamkę. Dotknął jej palcem — chropowatość. Małeńki płat farby odpadł od ściany i pojawiła się rdza. Patrzył na to przez chwilę niechętnie, nagle uderzyło go — rdza! Ściany jego pokoju nie były przecież z żelaza! Zdrapał trochę rudego proszku i obejrzał przez lupę. Czerwone, kruszące się ziarenka, twarde i ostre jak ziarna papieru ściernego. Miał zamiar zrobić analizę chemiczną, ale później stracił ochotę. Nałożył na ścianę nową warstwę lakieru, pociągnął z wierzchu plastikowym, bezbarwnym, i przestał o tym myśleć.

Była to właśnie sobota. Przyniósł sobie do pokoju papier i butelkę z wermutem. Od wina czuł już lekki ból głowy. Pił z plastikowej butelki, którą naciskał jak gumową gruszkę: zawsze połykał przy tym więcej wina, niż należało. Nienawidził pisania, ale musiał napisać czterdzieści odpowiedzi na czterdzieści standardowych pytań i zwykle dopisać coś jeszcze w rubryce: UWAGI. Tej ostatniej rubryki nienawidził najbardziej. W pewnej chwili jego wzrok padł na ścianę, pod którą stał tapczan: plama ukazała się znowu, jeszcze większa i jaskrawsza niż poprzednio.

Mieląc w ustach przekleństwa podszedł do ściany.. Lakier był przeżarty na wylot, rdzawa masa wyrzuszała się na milimetry ponad powierzchnię ściany, jak gdyby narastała, warstwa na warstwie. Przyniósł sobie narzędzia i zdrapał całą rdzę. Sięgała w głąb metalowej ściany, zostało po niej chropowate, jak wyżarte kwasem, wgłębienie. Powinien je czymś wypełnić. Nie mógł obmyśleć żadnego sposobu, wreszcie przyniósł z biblioteczki portret Einsteina i umocował go na ścianie, aby zasłaniał wyrwę. Trochę spokojniejszy powrócił do pracy.

Wieczorem wypił resztę wermutu i położył się z okropnym szumem w głowie. Czuł, jak ból narasta, naciskał palcami skronie, aż spęczniały żyły i przed oczami pojawiły się czarne fale krwi.

— Cholerne wino — powiedział do siebie.

Nie mógł w ogóle usnąć. Wydawało mu się, że w pokoju jest ciemniej niż zwykle, przed oczami latały płaty zgęszczonego mroku jak ogromne, czarne nietoperze. Warczały wentylatory.

— Cholerne wino — powiedział jeszcze raz.

W głębi statku rozległ się ostry huk, zabrzękło tłuczone szkło. Zerwał się. Przytrzymany elastycznymi pasami, odpinał je niezręcznie, szukając stopami magnetycznych butów. Wybiegł na ciemny, o drżących ścianach korytarz. Odgłos nie powtórzył się. Zapalił światło i przeszedł wzdłuż korytarza, mrużąc oczy. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Stał przy drzwiach swojego pokoju, wahając się, z głową ciężką od bólu, kiedy nagle poczuł zapach. Ostry zapach, od którego łzawiły oczy. Wreszcie zrozumiał: chlor! Musiał pęknąć balon z chlorem i trujący gaz przedostał się przez otwarte drzwi. Woń była coraz mocniejsza. Krztusząc się przebiegł korytarz, znalazł się w sterowni, zamknął za sobą drzwi i przekręcił kółko hermetyzacji — powietrze nadeło gumowe uszczelki. Włączył wentylatory we wszystkich pomieszczeniach i puścił powietrze do filtrów oczyszczających. Zaczynał zdawać sobie sprawę, jakiego uniknął niebezpieczeństwa — chlor był pod ciśnieniem, jedna butla wystarczyłaby na zatrucie powietrza w całym statku. Odczekał, aż powietrze zostało wymienione i

otworzył drzwi.

Pękniętą butlę znalazł w magazynie przy końcu korytarza. Tryskający pod ciśnieniem gaz napotkał na swojej drodze stojaki ze szkłem laboratoryjnym i zmiażdżył je o ścianę. Szkło unosiło się w powietrzu, przyssane do wentylatorów. Pusty balon wyrwał się z uchwytów i spoczywał wśród rozbitych konstrukcji, zaklinowany między nimi a ścianą. Obejrzał butlę ze wszystkich stron, aż znalazł mały otwór, okrągły, jak gdyby zrobiony wiertłem. Jego brzegi pokrywał rdzawy nalot, warstwy kryształków narosły obok niego i przeżarły metalową skorupę. Patrzył na to nieprzytomnymi oczami — cóż to mogło być? Rdza? Alotropia udzielająca się metalowi i zmieniająca go w rudy proch? W jaki sposób ten stop, którego składniki potrafił wyliczyć wraz z ich procentową zawartością, mógł ulec alotropii? Może jakiś kwas?

Obejrzał pozostałe butle z gazem, ale nie znalazł na nich ani jednej rudej plamki. Wrócił do swojego pokoju, gasząc po drodze wszystkie światła. Leżał w ciemności i czuł, jak ogarnia go niepokój, nieokreślony lęk, którego nie potrafił przezwyciężyć. Wydawało mu się, że powinien teraz coś zrobić, właśnie teraz, i ta świadomość nie pozwalała mu spać. Wstał znowu, zapalił światło i zobaczył przed sobą portret Einsteina, Einsteina z mądrymi oczami i zwariowaną czupryną. Zauważył, że portret odstawał od ściany!

Nie potrafił się zdecydować. Czuł jakieś obrzydzenie, jak gdyby miał podnieść kamień, pod którym — wiedział — kryją się stonogi, wielonogie wijące się potwory. Ale podszedł do ściany i zerwał portret, cofając się o krok.

Wyglądało to jak rudy mech. Właściwie — jak odlew mchu w czerwonym metalu, w którym miejsce puszystości zajęła chropowatość, a kryształki pogniotły się i wyostrzyły jednocześnie. Czerwona kępa wyrastała ze ściany, stłoczone roślinki wczepiły się w metal, zdawało mu się, że widzi, jak wysysają korzeniami z metalu to, co nadaje mu twardość i połysk. Odczuwał strach. Może wszędzie, pod farbą, wewnątrz litej, metalowej ściany rozpleniła się zaraźliwa grzybnia, która prędzej czy później wyrośnie martwym, czerwonym mchem i rudymi kępami pokryje wszystkie ściany i podłogi, i sufity? Pokonując lęk zaczął dłutem odłupywać ze ściany rudą narośl i nie przestał, dopóki nie odsłonił lśniącego, nagiego metalu.

Ten widok go uspokoił.

Z powrotem zawiesił portret na ścianie i wrócił do łóżka.

Był to dopiero początek, pierwsze ostrzeżenie. Przez dzień następny chodził po kabynie od sterowni do laboratorium, szukając chropowatości, rdzawych plamek, złuszczonego lakieru. Nie rozstawał się na chwilę z ostrym dłutem i trójkątnym pilnikiem. Najchętniej zdarłby wszędzie warstwę farby, aby widzieć wokół siebie tylko nagi metal, jedyną rzecz, której mógł dowierzać. Ale nie mógł tego zrobić. Nocami czuł, że w statku, w jego najgłębszych zakamarkach, rozrasta się niebezpieczeństwo, zdradziecka rdza, która czyni metal kruchym i nieposłusznym. Statek go zdradzał. Warkot wentylatorów trwał nieustannie, nieustannie prąd biegł brzęczącymi przewodami i płyn hydrauliczny krążył w rurach, ale on był pewien, że jest to tylko kamuflażem, maską, która ukrywa spisek. Sprawdzał wskazania przyrządów w sterowni. Gdyby zdrada sięgnęła któregoś z ważnych zbiorników lub przewodów, czujniki elektryczne wykryłyby natychmiast zmianę oporności i zawiadomiłyby go alarmowym sygnałem. Gdyby który z czujników przestał pracować, alarm rozległby się również. Gdyby przestało działać urządzenie alarmowe...

Wiedział, że nie powinien o tym myśleć.

Ósmego dnia znalazł znowu rdzę, tym razem w laboratorium, wżartą w metal tak głęboko, aż bał się, czyszcząc wyrwę, że przebije ścianę na wylot. Poczul się znów zaalarmowany, znowu obszedł całą część mieszkalną, zaglądając wszędzie, we wszystkie kąty, za rury wodociągowe, za zlew i wannę, za siatki wentylatorów. Znajdował maleńkie, czerwone plamki, szlifował w tych miejscach metal do połysku, aż jaśniał on lustrzanym blaskiem. Gdy obejrzał wszystkie pokoje, przypomniał sobie o maleńkim magazynie, nie większym od szafy ściennej, gdzie wyrzucał uszkodzone aparaty, których nie miał zamiaru naprawiać. Nie było

tam nawet światła. Oglądał ściany centymetr po centymetrze, w ostrym świetle potężnej latarki, i w najdalszym kącie, gdzie zgęszczał się mrok i przenikały się cienie, zobaczył rudy kielek, wychylony z metalu, wygięty lekko w linię, która nasuwała nieodparte wrażenie wzrostu.

Wyrwał go ze ściany i rozkruszył na proch. Wiertarką zniszczył korzonek, wrosły głęboko w ścianę. Ledwie trzymał się na nogach, czuł strach, który wyciskał z niego pot jak lodowatą wodę. Nie miał już wątpliwości, że niebezpieczeństwo jest coraz większe, realniejsze, a zarazem nieuniknione. Skąd ono przyszło do statku? Ciągłe gotów był przypuszczać, że sam statek podniósł przeciw niemu bunt, w niepojętej zemście za to, że mógł zrobić z nim wszystko, a jednocześnie był bezbronny i bezradny.

Odpowiedź z Ziemi nie nadchodziła. Nie spodziewał się zresztą wiele po tej odpowiedzi, miał tylko nadzieję, że otrzyma zezwolenie na przerwanie lotu i włączenie silników, które skierują jego statek ku Ziemi. Przesiadywał w sterowni, oglądał ziemski program telewizyjny i sprawdzał, sprawdzał nieustannie położenie strzałek na tarczach zegarów.

Pewnego dnia poczuł wstrząs. Zapalił się ekran radaru, zadzwieczał dzwonek, który wzywał go do pulpitu. Na ekranie zielony promień oświetlał plamkę, niewyraźną plamkę, w której próżno dopatrywał się konturów. Określił jej koordynaty, włączył stabilizację i poszedł do obserwatorium, gdzie teleskopy czekały na niego w wielkiej hali bez ścian. Ustawił małą lunetę w kierunku określonym przez radar i spojrzął w okular.

Zobaczył statek.

Podłużny, o niezwyklej kształtach, leciał bezwładnym lotem, z wyłączonymi silnikami. Jego pokrycie świeciło jaskrawo światłem. Gorączkowo zaczął naciskać guziki przeliczników, obliczył prędkość, kierunek lotu, potem połączył się ze sterownią i zażądał podania wzajemnego ruchu statków. Miały spotkać się za pół godziny. Wzywał tamtą raketę na falach radiowych, lecz ona milczała. Odległość zmniejszała się nieustannie. Im więcej rozróżniał szczegółów, tym bardziej czuł się zdziwiony.

Rakieta nie pochodziła z Ziemi. Nigdy, na pewno nigdy na Ziemi nie budowano podobnych statków. Upewniając się o tym, odczuwał coraz większe podniecenie. Skierował wszystkie analityczne oczy swojej rakiety na obcy statek, na taśmach magnetycznych automaty zapisywały informacje o kształcie, torze lotu, prędkości, promieniowaniu obiektu. A on zbliżał się ciągle, już dobrze widoczny gołym okiem, srebrny i milczący.

Najmniejsza odległość — sześć kilometrów. Tamten statek obracał się wokół swojej osi. Odsłonił brzuch, w którym otwierały się rzędy okien, potem blachy pokrycia jak wypukłe zwierciadło, aż ukazał się właz. Kłapa włazu wydawała się niedokładnie domknięta. Wpatrzył się w nią uważniej i zobaczył wysuwające się przez szparę między krawędzią otworu a kłapą — rude, prężne łodygi.

Chciał — przedtem — skierować swój statek na tor zgodny z rakieta Przybyszów, dostać się na jej pokład, odnaleźć pilotów, nawiązać kontakt. Ale teraz poczuł się zrezygnowany. Powrócił do sterowni i wyłączył radar.

W końcu przestał dowierzać systemowi alarmowemu. Postanowił przedostać się do stosu i osobiście sprawdzić jego działanie. Włożył kombinezon opancerzony ołowiem i zaczął schodzić szybem łączącym część mieszkalną i silnikową. Ściany szybu wydawały się gładkie, ale kiedy przyglądał się im uważniej, zauważył maleńkie, rdzawe plamki, drobne jak kropki drukarskie. W miarę jak schodził niżej, ich ilość rosła. Jeszcze więcej było ich na ścianach korytarza prowadzącego do pomieszczenia, które przylegało bezpośrednio do pancernej osłony reaktora.

Przeście zamykała okrągła kłapa, przytrzymywana sprężynowymi ryglami. Mocował się z zamkiem, czując nieokreślony niepokój. Wydawało mu się, że coś napiera od wewnątrz na kłapę, że wystarczy szpara, mały otwór, by spiętrzone za nią niebezpieczeństwo rozprzerzeniło się na cały statek i obaliło go jak fala powodziowej wody. Opanował się z trudem. Z

całej siły szarpnął dźwignię uwalniającą klapę.

Klapa odskoczyła z głuchym dźwiękiem.

A wewnątrz rozgęstwił się las. Patrzył, oniemiały, na rdzawe gałęzie, prężne, gruzłowate, splatające się w najeżony cierniami, brunatnoczerwony gąszcz. Potężnymi korzeniami wparły się w puszysty od mchu kadłub reaktora, rozgałęzione, potężne jak dęby, o chropowatych pniach i gładkich gałęziach drzewa z czerwonej rdzy. Ruda pleśń porosła ściany, okryła rury liczników Geigera wpatrzonych w stos, zbiła się w kątach w porowatą masę, gdzie mech rósł na mchu, dając podłoże następnej warstwie. Mikowe, płaskie liście, brunatne kielichy, rozwarte jak wieczorne kwiaty, pasożyty ssące energię, pożerające powietrze i stal!

Cofał się z rozszerzonymi oczami.

— Zdrada — wyszeptał. — Zdrada.

Biegł korytarzami o zrudziały ścianach, zamykał za sobą wszystkie drzwi, hermetyzował uszczelnienia, dociskał rygle. Zdyszany, ciągle w ołowianym skafandrze gniołącym jego ramiona, znalazł się w bibliotece i dopiero w chwilę później spostrzegł, że wszedł w niewłaściwe drzwi.

Spojrzał na półki pełne grubych tomów dociśniętych sprężynami, ustawionych według nazwisk autorów, każdy na swoim miejscu.

Zaczął przeglądać tytuły, przy tym zawadził ramieniem o jeden z tomów, który wysunął się ze swojej przegródki i poszybował ku podłodze. Upadł grzbietem na ziemię i otworzył się.

Podniósł książkę. Encyklopedia. Litera P: *Pandora. Panstwowianizm. Panspermia.*

*...Hipoteza panspermii — wszechzapłodnienia. Opracowana przez laureata Nobla, Svante Arrheniusa, przedstawiona w jego książce „Powstawanie światów”. Sugerująca możliwość przenoszenia się życia we Wszechświecie dzięki ciśnieniu promieniowania z Praźródła Życia. Mikroskopijne zarodniki — spory, rozmiarów rzędu  $10^{-7}$  milimetra, mają dostatecznie wysoki stosunek powierzchni do objętości, aby ciśnienie światła wystarczyło do oderwania ich z powierzchni Ziemi. Gdy znajdują się w odpowiednich dla siebie warunkach, powracają do życia. Przetrwalniki niektórych bakterii są wytrzymałe na niską temperaturę i promieniowanie kosmiczne, teoretycznie więc słuszność hipotezy panspermii jest możliwa.*

Przez chwilę czuł się olśniony.

Rzeczywiście. Miniaturowe spory mogły przeniknąć do wnętrza jego statku. Może nawet sam je przyniósł na swoim skafandrze? Niezauważalne jak atomy, mogły rozplynać się z powietrzem po wszystkich kabinach, uczeplić się ścian, rozrastać się w rurach wentylatorów. Mogły dostać się wszędzie. W przestrzeni, wokół jego statku, unosiły się te ziarenka, drobniejsze od pyłu kosmicznego, zmrożone kosmicznym chłodem, osiadały na pancerzu rakiety, ale nie mogły rozwijać się w próżni — potrzebowały ciepła, łagodnego ciśnienia atmosfery i metalu. Dlaczego właśnie metalu? Może była to specyficzna forma życia, zrodzona w toku ewolucji rozpoczętej wtedy, gdy w przestrzeni pojawiła się pierwsza rakietka? Widział przecież statek Przybyszów pożarty przez nie, być może nie był to jedyny, który, z wygasłym stosem, z powietrzem w korytarzach pełnym rdzawego pyłu, krąży po orbicie wokół jądra Galaktyki razem z obłokiem zarodników, które nie zdołały dostać się do jego wnętrza. Może cała przestrzeń międzygwiazdna, daleka od silnych pól grawitacyjnych ściągających zarodniki ku planetom, jest zarażona, pełna miliardów miliardów krążących ziarenek, razem z życiem przynoszących śmierć?

Zawarczał dzwonek wzywający go do radiostacji. Nadeszła odpowiedź z Ziemi. Odczytał kilka słów wydrukowanych na papierowej taśmie — pozwalali mu wracać. Z gorączkowym pośpiechem podbiegł do pulpitu, przypasał się do fotela i zaczął naciskać kolejne klawisze. Lampki zapalały się na wielkiej tablicy, dźwięczały brzęczyki, na okrągłych ekranach pojawiły się zielonkawo świeczące zygzaki wykresów.

Ale ostatnia lampka nie zapaliła się. Stukał w czerwony guzik rozruchu silników, widział drgania wskazówek przyrządów, prąd szedł, energia rosła zgodnie z krzywą rozruchu,

ale silniki nie działały, nie odpowiadały czujniki. Zaczął bić pięścią w pulpit, krzyczał coś, przekrzykiwał ryk alarmowej syreny, która się odezwała, aż nagle uspokoił się i patrzył na martwiejące tablice.

Wewnątrz statku kolejno gasły światła.

## CZŁEKOKSZTAŁTNY

Wolne miejsce było w czternastej kabinie. Szedłem wzdłuż korytarza, szukając czternastki. Wreszcie znalazłem i otworzyłem drzwi.

Rzeczywiście jedno miejsce było wolne. W drugim fotelu siedział już pasażer — wysoki mężczyzna, brunet, o śniadej cerze. Patrzył na mnie przez chwilę lustrującym spojrzeniem, potem podniósł się i wyciągnął rękę.

— Więc pan będzie ze mną jechał?

— Tak — powiedziałem i usiadłem w fotelu. Był miękki, stanowczo za miękki. Zawsze gdy siedzę w fotelu, porównuję go z antykiem mojego dziadka, starym fotelem o bardzo mocnych sprężynach, i dlatego nowoczesne gąbczaste meble wydają mi się zbyt miękkie. Wyciągnąłem rękę w bok, tam gdzie powinna stać gałka telewizora, ale natrafiłem tylko na gładką ścianę. Wtedy przypomniałem sobie, że jestem w kabinie drugiej klasy. Skrzywiłem się.

Wagon ruszał. Czułem wibrację silnika, przyspieszenie rosło ciągle, zawsze wywierał na mnie wrażenie nadmiar mocy. Później silnik przycichł, ale szybkość, oczywiście, się nie zmniejszyła.

— Pan wie, kiedy będziemy nad La Manche? — zapytał mój towarzysz.

— Jak zwykle — rzekłem — za kwadrans.

— A ile czasu będziemy nad kanałem?

— Pięć minut.

— Czy tamtędy pływają wodoloty z Calais? — mój rozmówca pochylił się w fotelu.

— Nie. Bardziej na wschód.

Wydał się zasmucony.

— Stracił pan okazję — rzekłem. — Zresztą jest już ciemno. Czyżby pan nigdy nie oglądał wodolotu?

Trochę się skrzywił.

— Ma pan rację — powiedział — to była rzeczywiście ostatnia okazja. Zaraz odlatuję tam, gdzie trudno spotkać wodoloty.

— Czy pan jest Amerykaninem?

— Nie. Anglikiem. Z Oxford.

Słowo „Oxford” wypowiedział z dumą godną arcybiskupa.

— I pan jeszcze nigdy nie widział wodolotu?

— Rzeczny. Na Tamizie.

— Ach, tak...

Wstałem i podszedłem do okna. Płyty były zasunięte, nacisnąłem guzik, rozsunięły się powoli. Było ciemno. W dole niewyraźnie błyszczała woda kanału La Manche. Ciemny kontur wyginał się po bokach — wysoki brzeg zbliżał się.

— Zaraz wjedziemy w tunel — powiedziałem i zasunąłem płyty. Siedzieliśmy teraz naprzeciw siebie milcząc. Czekałem na audycję radia BBC. Właśnie głośnik trzasnął i rozległ się głos spikera:

— Podajemy codzienne wiadomości radia BBC. Na wstępie ważniejsze wiadomości w skrócie. Rektor Uniwersytetu w Salzburgu, doktor Iugovitsch, i wykładowca Uniwersytetu Oxfordzkiego, doktor Iverson, zostali przez księcia Walii odznaczeni orderami DSC w uznaniu zasług położonych przy pracy nad teorią Daviesa-Hermanna. Poza tym doktor Iverson...

— Iverson? — zapytał mój towarzysz.

Popatrzyłem na niego — siedział z przymrużonymi oczyma.

— Tak. Pan go zna? Ach, pan jest z Oxfordu — przypomniałem sobie. — Cóż takiego zrobił ten Iverson?

— Iverson pomagał Daviesowi... — Milczał przez chwilę, nagle zapytał: — Jak pan uważa, ile mam lat?

Podniósł się w oczekiwaniu odpowiedzi, zacisnął usta, jak gdyby nie chciał uśmiechnąć się przedwcześnie. Spojrzałem na jego czarne włosy, przypominały sztuczne włókno. Lśniąco, elastyczne, sprężynujące.

— Najwyżej dwadzieścia pięć — powiedziałem.

Teraz chciał się uśmiechnąć, ale nie mógł.

— Nie — powiedział. — Piętnaście. Dokładnie o dziesięć mniej.

— Piętnaście?

— Uhm.

Popatrzyłem na niego pytająco. Nie chciało mi się mówić.

— Nie słyszał pan o przyspieszonym rozwoju? Inkubator, skrzynka, automaty kontrolne... Wszystko w śnieżnobiałym laboratorium. Potem taki wózek, wie pan, jak w szpitalach: cztery wysokie nogi i kółka. Wyścielone gumą porowatą, na to folia plastikowa, gaza, folia, sterylność i tak dalej. — Uśmiechnął się. — Rozumie pan coś z tego? Nic, oczywiście, że nic.

Pochyliłem się w fotelu i wpatrzyłem w kanty spodni. Teraz otworzyły się okna wagonu i blask wpłynął do wnętrza, żółty blask lamp w tunelu.

— Więc na panu robiono doświadczenia?

— A tak, doświadczenia — wykrzywił się w uśmiechu — i to jakie doświadczenia. Zna pan chemię? No, chociaż trochę.

Kiwnąłem głową.

— Widzi pan. Reakcja, próbówka. Produkt reakcji: żywy człowiek. To nazywa się syntezą, nieprawda?

— To duża próbówka? — zażartowałem.

Spojrzał na mnie ponuro.

— Nie. Mała. Wcale jej nie widać spod uchwytów, wśród aparatury. Czarne stojaki, a pośrodku maleńka próbówka. Rękawice sterylizowane. Inkubator. Rok czasu leży w inkubatorze. Musi się zestarzeć — jak wino. Nie, żartuję tylko. Niech pan nie pomyśli, że wino... Chociaż właściwie tak. Fermentuje? Nie, nie to. Jak winne grona — dojrzewa. O, właśnie. Potem... a! jeszcze codziennie oglądają pod mikroskopem. Wszystko jest pod szkłem, wielkim, powiększającym szkłem, nad tym lustro i okular. Więc potem podjeżdżają wózkiem ogrzewanym, pod spodem ma poduszki elektryczne, otwierają klapę, po sterylizowanej pochylni zjeżdża do sterylizowanego wózka sterylizowane niemowlę.

Uśmiechnąłem się.

— A potem... Wie pan, co dalej? — ożywił się wyraźnie. — Potem umieszczają dziecko w basenie z płynem odżywczym, pod klosz z tlenem, nakłuwają igłami. Robią sztuczne mleko w laboratoryjnych zlewkach. Dziecko szybko rośnie, po roku takiego życia wygląda już na sześć lat. Ale nie jest bardziej inteligentne niż sześćioletni, powiedzmy, ślimak. Nie potrafi nawet chodzić. To wie pan, co oni robią?

Przerwał. Okna zamknęły się cicho. Maszyna hamowała, syczały pneumatyki. Stanęła. Głośnik odezwał się:

— Stacja Birmingham. Godzina zero czternaście.

— Birmingham? — mój towarzysz zamyślił się. — Daleko jeszcze do stacji końcowej?  
— Do Dublina? Godzina drogi. Pan leci dalej? — zapytałem. — Do Ameryki?  
— O, tak. Do Vandenberg.

— Vandenberg... A z Vandenberg...  
— Właśnie. Wie pan, dokąd prowadzi droga z Vandenberg. Na Marsa, Jowisza, Tau Wieloryba. Czy pan wie, że jeszcze nie byłem na Księżycu? Czy pan potrafi to sobie wyobrazić? Zapewne tak, bo i pan nie był. Ale oni nie potrafią. — Uśmiechnął się. — Kiedy zgłosiłem się na lot, dostałem najpierw kontrolny: zameldować się nad Moons i wrócić. Byłem po półrocznym przeszkoleniu na symulatorach. Miałem lecieć „Thorem”. „Czemu nie?” — powiedziałem. Stałem na ogniu, a potem zwiększyłem ciąg. Zapomniałem o jednym — że trzeba zapiąć pasy. Że trzeba starannie zapiąć pasy. Hamowałem przed wejściem na orbitę. Dziwiłem się — w symulatorze zawsze coś przeszkadzało mi się pochylić. Nie przyszło mi na myśl, że to pasy. Poleciałem twarzą na tablicę. W Vandenberg powiedzieli, że to nic dziwnego. Tłumaczyłem... — urwał.

Wagon ruszył.

— Made in Oxford. Ładnie brzmi. Jestem wykonany w Oxfordzie. Nawet nazwisko, nazywam się Foxor, jest anagramem od: Oxford. Uniwersytet. College. O czym mówiłem? Aha, więc jak dziecko umie chodzić... Mają taką maszynę. Asystenci wpychają okaz do wnętrza. Uchwyty opinają na nogach. Potem włączają silniki. Raz — dwa, raz — dwa... Ćwiczenia fizyczne. Dla wzmocnienia mięśni.

— Pomysłowe — powiedziałem.

— Tak — rzekł apatycznie. — Ale to nie wszystko. Mają specjalne kabiny. Ekran, ikonoskopy, elektrody. Metoda Leviego-Costara. Szoki elektryczne. Czy pan zauważył, że chwilę poprzedzającą wypadek z reguły pamiętamy? Więc to jest właśnie metoda Leviego-Costara. Wyświetlają obraz, odtwarzają płytę i — szok. Okaz wije się i wyje. Ale pamięta obraz i słowa: „To jest dom. Lala Ali. Samochód, Synchronofazotron” — i tak dalej. Okaz pamięta. Aha, pan tego też nie wie: w laboratorium nie ma lusterka. Okaz widzi jakieś dziwne istoty i nie wie, że sam jest jedną z nich. Myśli, że jest. czymś innym, małpką, królikiem doświadczalnym, ale nie człowiekiem. Małpka żywiona zastrzykami, cała skóra pokłuta. Śniadanie, obiad, kolacja. Dopiero później uczą jeść. Naukowo. Wyświetlają film: tłusciutki blondynek przed talerzem kaszki. Ktoś dowcipny nazwał film „Smacznego”. Dzień-ku-ję — wyskandował i przerwał.

— Mówi pan, że w laboratoriach potrafią... Myślałem, że dopiero prowadzone są wstępne badania, próby powiedziałem.

Uśmiechnął się.

— Słyszał pan o Gasthrovy'm?

— Trochę.

— On dwadzieścia pięć lat temu opublikował zmodyfikowaną teorię ewolucji. Słyszał pan o niej?

— To już historia.

— Niekoniecznie. Więc on twierdził, i to bardzo dowcipnie, że potrafi stworzyć sztucznych ludzi. Mówił: sztucznych. Idiota! Wyglądało to mniej więcej tak: ludzie to wyższe ogniwo rozwoju niż małpy. Wobec tego małpa umieszczona gdzieś na lodowcu po pewnym czasie stałaby się człowiekiem. Oczywiście nie ta małpa. Jej potomek. Ponadto trzeba wziąć pod uwagę, że nie dotyczy to każdej małpy. Dajmy na to tej, która zbiegiem okoliczności zachowałaby cieplejsze futro. Uratuje życie dzięki temu.

— A potomek jej może być łysy — powiedziałem.

— Nie — znowu się uśmiechnął. — Otóż Gasthrovy twierdzi, że zostaną zachowane cechy pożyteczne. Sterowane mutacje genów.

Mruknąłem coś.

— Z kolei ten potomek może mieć brata mającego znów jakąś pożyteczną cechę. I tak dalej, aż do człowieka. Oczywiście to trwa długo. Ciągły wpływ warunków na geny, rozumie pan? Coraz krótszy ogon, coraz mniejsza czaszka. A Gasthrovy powiedział: „Gdyby tak od razu?” Jednym słowem, uszczęśliwić małpę ludzkim potomkiem przez spotęgowanie wrażliwości genów na warunki zewnętrzne, ale tylko niektóre warunki. Opracowano grube tomy, powiem panu kilka tytułów: *Teoria ewolucji Darwina a teoria Gasthrovy'ego*. To napisał Davies. Ponadto *Podstawy sterowania ewolucją i Przyspieszenie procesów życiowych*. To ostatnie też Daviesa. On właśnie, Anglik, zabrał się wtedy do tego. Miał katedrę w Oxfordzie.

Zamilkł na chwilę i spojrzał na mnie dziwnie.

— Więc zaczęto próby. A wtedy dopiero Iugovitsch, jakiś Austriak, przyjechał do Oxfordu i zrobił piekło. Powiedział, że przesłanki są błędne, stworzył specjalną komisję, która miała opiekować się eksperymentem, mówił o odpowiedzialności, bo przecież człowiek i tak dalej. Ale to było niepotrzebne. Wie pan zapewne, że nie pochodzimy od szympanów? Pochodzimy od jakichś wspólnych, co prawda, przodków. Gdyby rozwijać szympana, nie powstałby z tego człowiek, gdyż byłoby to rozwinięciem bocznej gałęzi, jak ewoluowanie krokodyli. Więc trzeba było najpierw cofnąć w rozwoju szympana, a dopiero potem myśleć o człowieku. Ale jak cofnąć ewolucję? Nie znano przecież dokładnie wspólnych przodków. Tego osławionego „pośredniego ogniwa”.

Wsunął się głębiej w fotel i przechylił w bok głowę.

— Ale była już zasada. Trzeba ją było tylko zrealizować. Pięć lat w Oxfordzie Davies i Hermann, ten ostatni opublikował w tym czasie kilka przyczynków do biochemii, prowadzili badania i pisali prace. Hermann dopiero zdobył doktorat. Badali więc warunki panujące wtedy, gdy nasz praprzodek żył gdzieś wśród afrykańskich stepów, stwarzali rekonstrukcje. Ale niewiele im to dało. Potem podeszli inaczej do tej sprawy: zaczęli badać drzewo genealogiczne gibbona. Gibbon, jak wiadomo, wśród małp nie jest najinteligentniejszy. Uznano więc, że jest najbliższy swego przodka.

Urwał i znów spojrzał na mnie.

— Widzę, że pan nie rozumie, dlaczego właśnie gibbon. Więc Daviesowi chodziło o to, że szympana stoi, można by rzec, na szczycie człekokształtnych. Goryl i orangutan są nieco niższe, a więc ich droga ewolucji była krótsza. A najkrócej lub najmniej intensywnie — rozwijał się gibbon. Zabrano się do gibbona. Z trudem zdołano odtworzyć jego ewentualnego przodka. Postanowiono sprawdzić ewolucję. Zaczęto rozwijać metodą Hermanna, tak zwaną metodą korekcji zarodka, tegoż pragibbona. W ten sposób doszliśmy do szympana. Eksperyment powiódł się. Davies tryumfował. Teraz pozostawało już tylko stworzenie człowieka. Trzeba było odpowiednio zmieniać warunki, a zarazem biednemu pragibbonowi zaszczepić pewne hormony, dokrewnie. Zresztą na tym nigdy się nie znałem. Chciano zwiększyć wrażliwość na zmiany cech dziedzicznych i sztucznie zmieniać te cechy. Jednak nie udało się.

Podniosłem brwi do góry.

— A tak, nie udało się. Po prostu pragibbon nie był praczłowiekiem. Drogi ewolucyjne rozeszły się jeszcze wcześniej i trzeba było znaleźć prapragibbona. Ale Davies i Hermann nie od razu doszli do tego. Pomyśleli, że, być może, pochodzimy raczej od pragoryli i że pragibbon nie jest pragorylem, że drogi ewolucyjne były inne, że oddzieliły się jeszcze dawniej. I sprawa się skomplikowała, bo było akurat odwrotnie.

— I?

— I nic. Później weszli na właściwą drogę. Ale kiedy byli o krok od rozwiązania, wtrąciła się komisja Iugovitscha. Powiedzieli... cóż mogli powiedzieć? Odpowiedzialność! Zbrodnia! Że nawet w imię nauki nie można!

— I jak pan uważa? — zapytałem. — Mieli rację?

Uśmiechnął się.

— To zależy — powiedział. — Sądzę, że tak. Ale Davies... celem Daviesa było



stworzenie sztucznego człowieka. Tak to nazywał, ale to bzdura. Sztuczny! Bydłę i tyle.

Umilkł i zaczerpnął oddechu.

— Zresztą Davies mógłby już spocząć na laurach — powiedział po chwili — ale Hermann, młody, słaby w filozofii, postanowił iść wciąż naprzód, choćby po trupach woznych, laborantów i okazów. Próby kontynuowano, a Oxford nie protestował. Nazywano Iugovitscha „cesarsko-królewskim humanitarystą”. Anglicy nie lubią cudzoziemców. Iugovitsch nic nie wskórał. Zresztą to nie było najgorsze.

— A co? — zapytałem.

Westchnął i pochylił się w fotelu.

— Co było najgorsze? Burnin. Doktor Burnin. On wtedy ukończył swoje dzieło z zakresu teorii wychowania. Zrobił to według Leviego-Costara. Zresztą nie tak szybko przyznał się do tego. I wie pan już, co wyszło z jego teorii. Te wszystkie maszyny robili Burnin z Hermannem. Mają nazwy jak narzędzia tortur... „rozciągacz Hermanna” na przykład. Davies nie był taki...

Skinałem głową.

— Davies nie był taki — powtórzył — on zamierzał normalnie oddać dziecko na wychowanie. Zgłaszali się nawet profesorowie. Ale cóż. Davies zmarł siedemnaście lat temu. Nie dokończył badań. Hermann i Burnin nie mieli dotąd opozycji. Postanowili wychować dziecko metodą Burnina. Dla lepszej kontroli. Mydlili oczy, że nie chcą stworzyć człowieka, a neandertalczyka. Trzeba było nie znać Hermanna, aby w to uwierzyć.

Wyprostował się z uśmiechem.

— Piętnaście lat temu, proszę pana, nadszedł historyczny moment. Uruchomiono pierwszego człowieka, stworzonego całkowicie w laboratorium. Miesiąc później Hermann zginął nad Atlantykiem. Leciał do Stanów po laury. Został Burnin. Dzielny Burnin zaczął wychowywać. Na podstawie Leviego-Costara. W pięć lat okazał się dojrzały. Nazywał się Foxor. Dokładniej: Charles Foxor. Burnin chciał nazwać go Igorem, ale Oxford... Rozumie pan, Anglicy są patriotami. Tak samo i profesor Iverson. Burnin dostał katedrę w Oxford. Charles Foxor zaczął studiować. Nie, nie medycynę. Fizykę. Później zostałem pilotem.

To nagłe przejście do pierwszej osoby zarumieniło mu twarz. Przestał być obserwatorem.

— Więc pan jest wychowany w instytucie?

— W instytucie? Na Uniwersytecie w Oxford, katedra biologii — powiedział dumnie.

— Wychowany? To niewłaściwe słowo. Ja jestem wyhodowany. Jak świnki morskie.

Milczałem. Spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Nie chce mnie pan uznać za bliźniego? — zapytał. — Ja pochodzę od gibbona i przyznaję się do tego. Pan nie ma ochoty. To tylko ja pochodzę od małpy. Jestem podobny do pana?

Pochylił się do przodu.

— Nie wiem... — zacząłem, ale mi przerwał.

— Dobrze — powiedział. — Dobrze. Już wiele razy to słyszałem. Poszukiwano we mnie cech odrębnych, doszło do tego, że uznano moje oczy za typowo małpie, ręce za małpie, powieki za małpie i tak dalej. Pan na pewno też coś takiego stwierdzi. Czyli trzeba zamknąć mnie do klatki! Obwozić! Made in Oxford...

— Przecież pan...

— A tak! — krzyczał. — Rozumuję, jak człowiek! Podobnie jak człowiek! Prawie jak człowiek! Jestem bardzo mądrą małpą, nieprawda? A pan jest człowiekiem z dziada pradziada. Może pochodzi pan od Rzymian? Może od Wilhelma Zdobywcy? A ja wiem na pewno, że pochodzę od małpy. I pan to wie. Wszyscy w Oxfordzie to wiedzą. Przynajmniej docenci i profesorowie, którzy to pamiętają. I Burnin, i Iverson. Od gibbona, od pragibbona, ssaka żyjącego ongi.

— Pan się niepotrzebnie denerwuje — rzekłem, nie wiedząc, co można rzec innego. Bałem się, że zacznie się śmiać. Ale on uspokoił się zaraz.

— W porządku — mruknął. — Chciałem tylko wyjaśnić... ach, zresztą nic.

Oparł się wygodnie w fotelu.

— I co się stało z Burninem? — zapytałem.

— Umarł pięć lat temu. Iugovitsch opieczętował materiały. Przerwano prace. W zamian zgodziłem się na Vandenberg. Na Marsa, Jowisza, Tau Wieloryba. Będę astronautą, pilotem. Za sto lat wrócę na Ziemię. Ja, Charles Foxor made in Oxford. A może już nie będzie Oxfordu? Wtedy zmieniłbym nazwisko na Foxor of Oxford.

Mówił to spokojnie, bardzo spokojnie, z lekkim uśmiechem.

— Pan należy do załogi „Bonnie”? — byłem zaintrygowany. Pasażer angielskiego statku międzygwiazdowego! To było ciekawsze niż zwariowane wspomnienia.

— Piętnaście minut do stacji końcowej Dublin! — zaskrzeczał głośnik. — Zaczynamy hamowanie. Uwaga!

Warczały hamujące turbiny.

— Do załogi „Bonnie”. Wrócę za sto lat i nie spotkam Iversona. Może i Oxfordu. Może będzie wojna i Oxford zrówna się z ziemią. Zresztą, sorry, nie chciałem całego Oxfordu, Davies był przyzwoity, tylko Burnin i Hermann. No, i Iverson. Ten stary Iverson, ja byłem z nim na ty z dodatkiem „doktor”. Raz próbował wmontować elektrody swojemu asystentowi i sterować jego mózgiem. Miał jakąś sprawę o to. Ach, nic zresztą.

Stanęliśmy. Drzwi otworzyły się, światło wlało się do środka. Płonęły błękitne lampy dworca. Wyszedłem Mój towarzysz wyszedł za mną.

— Pan odlatuje stąd? — zapytałem.

Skinął głową.

— Lecę specjalną rakieta — powiedział. — Stąd po raz pierwszy. Nie mam pojęcia...

Głośnik wrzasnął nagle:

— Pan Charles Foxor proszony jest do części raketowej, pawilon czwarty. Powtarzam: pan Charles Foxor, część raketowa, pawilon czwarty.

Rozglądał się bezradnie. Błękitny blask lamp przygasał miejscami. Wklęsły sufit świecił pasiastym błękitem.

— Zaprowadzę pana — zaofiarowałem się.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

— Jeżeli można...

Poszedł za mną. Stanęliśmy na ruchomym chodniku, przesuwaliśmy się pod sklepieniami półkuliście, pomarańczowymi ścianami. Pociągnąłem towarzysza za rękę — trzeba już było schodzić. Przeszliśmy obszerną oszkloną galerię i wyszliśmy na zewnątrz. Było ciemno i chłodno.

— Który numer? — zapytałem. — Czwarty?

— Pawilon? Tak.

Stanęliśmy przed szlabanem. Zielony automat, stojący z boku, oświetlił nas reflektorem. Szlaban podniósł się. Mój towarzysz przeszedł białą fosforyzującą linię i odszedł w stronę neonowej czwórki na niskim budynku.

## SEKCJA GENERAŁA HOFFMANNA

Piątego czerwca zdałem ostatni egzamin, a w dwa dni później leciałem już transportowcem do Vandenberg, gdzie miałem przydział. Nie był to taki przydział, o jakim marzyłem. Sekretarka w Szkole wytłumaczyła mi, że wprawdzie Sekcja VI należy do Małego Patrolu, ale jest to w zasadzie sekcja historyczna, podlega Hoffmannowi — jednemu generałowi, który nie lubi chodzić w mundurze. Zdejmując okulary po wypełnieniu odpowiednich rubryk w mojej Książce Pilota (bardzo dbała o swój wygląd, od noszenia okularów psuje się linia nosa), zainteresowała się:

— Ciekawe, co pan będzie robił u Hoffmanna?

Siwy pułkownik, siedzący wtedy przy stole i przeglądający jakąś książkę, odwrócił się i powiedział złośliwie:

— Niech go pani nie straszy, panno Barnes. Historii też się uczył.

Sekcja VI zajmowała tylko trzy pokoje: numer 234 — tabliczka z napisem: Sekretariat, numer 235 — Kierownik Sekcji, i numer 236 — bez tabliczki. Otworzyłem drzwi z napisem: Sekretariat, wszedłem — w pokoju nie było nikogo. Na wielkim, czarnym biurku i lekkim stoliku pod oknem, na szafie i nawet na pudle małego arytmometru leżały zwalone grube tomy w staroświeckich skórzanych oprawach, olbrzymie atlasy nieba i wielkiego formatu tablice współrzędnych astronomicznych, granatowe księgi ze złotym herbem brytyjskim. Podszedłem bliżej: *The Development of Blue Streak Launcher*, inna brązowa książka: *Iskusstwiennyje sputniki Ziemi*. Przechyliłem się przez biurko i zobaczyłem, że na podłodze leży też stos książek: w mroku blado połyskiwały złożone litery i brzegi okładek.

Za ścianą zaskrzypiały kroki. Cofnąłem się. Bocznymi drzwiami wszedł siwy pan w cywilnym, granatowym garniturze. Niósł stos grubych tomów. Podszedł do biurka, stos zachwiał się, jedna książka zsunęła się i upadła na podłogę. Starszy pan spojrzał na mnie groźnie:

— Co pan tu robi?

— Jestem przydzielony do Sekcji VI.

Starszy pan odetchnął głęboko i usiadł w fotelu. Schyliłem się i podniosłem książkę z podłogi. Była zakurzona. Gruba warstwa kurzu zakryła zupełnie tłoczone litery na okładce.

— Dziękuję, poruczniku — burknął cywil. I krzyknął: — Panno Thompson!

Panna Thompson weszła zadyszana.

— Niech się pani dowie, co to za facet — rzekł dostojny pan. — Mówi, że go do mnie przydzielono. Panno Thompson!

— Słucham — rzekła panna Thompson.

— Niech mu pani wytłumaczy, że jestem generałem.

Panna Thompson zwróciła się do mnie.

— Pan jest tym pilotem? Pana nazwisko? Niech się pan zamelduje panu generałowi Hoffmannowi.

Generał wstał. Gdy się meldowałem, panna Thompson usiadła w jego fotelu, wyciągnęła szufladę i zaczęła szukać pióra, a potem akt w segregatorze.

Generał powiedział:

— Dziękuję, poruczniku.

Rozejrzał się i usiadł na skrzypiącym krześle. Panna Thompson znalazła już teczkę, otworzyła ją i pochyliła się nad papierami. Generał poruszył się na krześle.

— Niech pan siada, poruczniku.

Usiadłem na ostatnim wolnym krześle.

— Pan dopiero ze Szkoły?

- Tak jest, panie generale.
- Co miał pan z zajęć praktycznych?
- Z nawigacji siedemdziesiąt punktów na sto, panie generale.
- Z pilotażu?
- Osiemdziesiąt pięć, panie generale.
- A z historii kosmonautyki?
- Czterdzieści pięć, panie generale.

Generał sięgnął do kieszeni, wydobył pudełko cygar i zapytał:

- Czy ma pani zapalniczkę, panno Thompson?
- Chwileczkę, szefie.

Panna Thompson wyciągnęła zapalniczkę z szuflady. Generał wybrał z pudełka cygaro, pochylił się i wyciągnął do mnie rękę z pudełkiem.

- Pan pali?
- Nie, panie generale.

Generał uśmiechnął się szeroko.

— Wychowują was w Szkole, co? Astronauta powinien być zdrowy. Ale po co zdrowie sekretarce, prawda, panno Thompson?

— Nieprawda — orzekła panna Thompson, zapalając cygaro i podając generałowi zapalniczkę.

Generał zaciągnął się dymem, rozparł się w krzesło, jak mógł najwygodniej.

— Poruczniku! — rzekł. — Pańskie zadanie może wydać się panu dziwne, ale pan pozwoli, że my wspólnie z panną Thompson powiemy panu, co trzeba. Panno Thompson, szybko „Herschell”, „De Ruyter” i „Warszawa”.

Panna Thompson wyjęła z ust cygaro i zaczęła szybko mówić:

— Rok 1992. Statek kosmiczny „Herschell”, napęd pulsacyjny, dwadzieścia tysięcy ton, uległ zderzeniu z wielkim obiektem w odległości trzech tysięcy kilometrów od Ziemi. Statek został uszkodzony i stracił łączność z Ziemią. W wyniku akcji ratowniczej, prowadzonej przez statki patrolowe, załogę uratowano, jednak ładunek został stracony.

— Rozbił się o Księżyc — wyjaśnił generał.

— Rok 2013. Statek kosmiczny „De Ruyter” holenderskiej Raketehansy na trasie z Ziemi na Księżyc zderzył się z dużym obiektem, właściwie z dwoma obiektami. Zginęło kilkanaście osób, resztę uratowano. Wreszcie rok 2035, to znaczy dwa lata temu, polski transportowiec „Warszawa” podczas okrążania Ziemi na orbicie wyczekiwania został ciężko uszkodzony, też na skutek zderzenia z dużym obiektem. Badania wykazały, że wszystkie te katastrofy zostały spowodowane przez stare sztuczne satelity Ziemi z lat sześćdziesiątych XX wieku, z którymi już dawno stracono łączność.

— Dziękuję pani — powiedział generał. I zwrócił się do mnie:

- Jaki był pierwszy sztuczny satelita Ziemi?
- „Sputnick I”.
- Najdłuższa seria sztucznych satelitów Ziemi?
- „Discoverer”.

— A które z satelitów wprowadzonych na orbitę w dużych ilościach okrążyły Ziemię poza granicami atmosfery?

Tego nie wiedziałem. Generał powiedział zwięźsko:

— Amerykańskie sztuczne satelity typu „Midas”. Krążyły one na orbitach kołowych, odległych od Ziemi o trzy tysiące kilometrów. Amerykańskie sztuczne satelity typu „Syncon”. Synchroniczne. Radzieckie sztuczne satelity „Ispytatiel”. Te aparaty i jeszcze inne przetrwały na swoich orbitach do dziś, o ile oczywiście nie zderzyły się z naszymi raketami. Panno Thompson, dane sztucznych satelitów typu „Midas”!

Panna Thompson wyrecytowała:

— Masa około dwóch ton łącznie z silnikiem napędowym Agena B. Wykonane w zakładach Lockheed. Wyposażone w kamery obserwacyjne czułe na promienie podczerwone, wprowadzone na orbitę okołoziemską w łącznej ilości czterdziestu pięciu satelitów, tworzące ostrzegawczy system obronny. Późniejsze egzemplarze wyposażone w urządzenia radiowe, zakłócające łączność z antysatelitami przeciwnika.

— Dziękuję pani. Z satelitami tymi zerwano łączność, gdy tylko przestały być potrzebne i, panie poruczniku, trzy eskadry po piętnaście satelitów do dziś krąży nie wiadomo gdzie, nie wiadomo w którą stronę i przede wszystkim nie wiadomo po co. Departament Wojny Kosmicznej — póki istniał — nie podawał do wiadomości najważniejszych parametrów orbit, a gdy został zlikwidowany, okazało się, że wszystkie akta zniszczono jako niepotrzebne. W końcu nie wiemy także nic o tajnych satelitach wojskowych...

— One spłonęły już dawno w atmosferze — powiedziała panna Thompson. — Apogeum czterysta kilometrów.

— Tym bardziej nic nie wiemy — logicznie wywnioskował generał. — Podobnie amerykańskie „LOO”, to znaczy Lunar Orbital Observatory, krążyły po orbitach okołoksiężycowych, których początkowe parametry wprawdzie podano, ale nikt nie obliczył perturbacji orbit! Prawda, że orbity są ekscentryczne i „LOO” spadają na Księżyc już od dziesięciu lat. Jeden z nich o mało nie zdruzgotał kopuły stacji badawczej na Stronie Zewnętrznej.

Panna Thompson zamknęła szufladę i odłożyła do szafy teczkę z aktami.

— Jeszcze sprawa „Guliwera” — rzekła. — To były aparaty umieszczane w rakietach lądujących na Marsie. Miały one badać życie na tej planecie. Oczywiście, żaden z „Guliwerów” życia nie wykrył, w końcu o nich zupełnie zapomniano. Wreszcie na Marsa przybyli koloniści, a razem z nimi bakterie. Jeden z „Guliwerów”, który stał gdzieś na pustyni przez pół wieku, zetknął się z jakimiś bakteriami i wykrył życie.

— Więc zaczął nadawać sygnały — przypomniał sobie generał — i sygnały te odebrał automat sterujący jednego ze statków transportowych. Zmienił kurs statku i mało brakowało mu do zderzenia z Deimosem.

— Jeden z „Prospectorów”! — zawołała panna Thompson, zabierając z biurka pudełko cygar.

— „Prospectory” to amerykańskie gąsienicówki księżycowe. Były zdalnie kierowane z Ziemi, jeździły, pobierały próbki i tak dalej — wyjaśnił generał. — Radzieckie nazywały się inaczej; zdaje się, że po prostu „Robot”. Wszystko było dobrze, dopóki na Księżycu nie powstały radiostacje. Teraz „Prospectory” jeżdżą jak zwariowane, zderzają się z budynkami, przewracają słupy linii przekaźnikowych i w ogóle wszystko, co się da. A to solidne wozy, jak czołgi. Co jeszcze, panno Thompson?

— Jeszcze „Krwawy Bill” — przez zęby oświadczyła panna Thompson, nie wyjmując z ust cygara.

— Aha! „Krwawy Bill” to, proszę pana, coś jak z legendy o piratach. Jest to jeden z amerykańskich antysatelitów typu „Saint”. Po starciu stracono z nim łączność, nie wiadomo nawet, na jaką orbitę właściwie wszedł. A on krąży i jak kogoś spostrzeże swoim radarem...

— Rakiety! — krzyknęła panna Thompson.

— Ma na pokładzie osiem rakiet, to znaczy pocisków raketowych, z głowicami wprawdzie konwencjonalnymi, ale stary melinit czy trotyl to zupełnie poważny ładunek, panie poruczniku. Osiem rakiet, osiem ofiar! Na szczęście nikt go jeszcze nie spotkał. Czy o czymś zapomniałem, panno Thompson?

— Chyba nie, szefie.

— Świetnie. Ponieważ za przestrzeń okołoziemską odpowiedzialna jest Federacja Patroli Bliskiego Zasięgu, do której należy nasz Mały Patrol, utworzono w jego składzie specjalną sekcję. Ja przyszedłem z Archiwum Wojsk Lotniczych, panna Thompson ze studiów, no i pan ze Szkoły.

— Studiowałam archeologię kosmiczną na uniwersytecie w Michigan — wyjaśniła panna Thompson.

— Tak — powiedział generał. — Na razie, jak pan widzi, praca nasza ma charakter teoretyczny. Czytamy z panną Thompson książki. Ta maszyna przy oknie to dalekopis: przy jego pomocy programujemy zdalnie kalkulator, mamy do dyspozycji 60% kalkulatora Sekcji Łączności Optycznej. Niedługo jednak rozpoczniemy loty. Przydzielono nam wczoraj patrolowiec ze specjalnymi radarami. Pan będzie drugim pilotem tego patrolowca.

— Z załogą zawsze jest kłopot — dodała panna Thompson.

— Właśnie — rzekł generał. — Dlatego radary będzie obsługiwać panna Thompson, a pierwszego pilota w ogóle nie będzie. Nawigatorem będzie panna Thompson. Na początek prostsze zadanie: poszukacie jakiegoś „Midasa”. Myślę, że dwa tygodnie powinny wystarczyć. Orbitę pan sam wybierze. Oczywiście, konieczna będzie stała łączność telewizyjna ze mną, a właściwie z Kalkulatorem.

— Kiedy start? — zapytałem.

— Jutro — stanowczo powiedział generał.

— I co dalej? — zapytał senator Carrayan, oddając mi maszynopis. — To nawet nie jest opowiadanie, panie generale, to jest początek początku...

Było już późno — godzina szesnasta. Zegar w kształcie staroświeckiej rakiety stojący na moim biurku cztery razy wyrzucił z dysz błękitny płomień. Siwy pan z uznaniem rozglądał się po moim gabinecie: wspaniały okaz architektury ery lotów transgalaktycznych.

— Może mi pan powiedzieć — rzekł po chwili — że dalszy ciąg znajdę w waszych kronikach, protokółach czy w rocznikach biuletynów informacyjnych. Jestem przewodniczącym Komisji Senatu, to prawda, ale prócz polityki zajmuję się czymś pożyteczniejszym. Mam akcje pewnego nowojorskiego wydawnictwa. Chciałbym panu zaproponować wydanie pańskich pamiętników, niezależnie od tego, czy pan je kiedykolwiek pisał, czy nie. Senator Carrayan uśmiechnął się. — Mamy czas. Komisja prowadzi badania drobiazgowo, chociaż może trochę bez wyobraźni. Czy zechce pan, generale, opowiedzieć mi o departamencie, traktując mnie jako przyszłego wydawcę pańskiej książki?

Po namyśle zgodziłem się. Senator Carrayan zapalił cygaro złotą zapalniczką. Zaczęłem:

— Wróciliśmy wtedy po ośmiu dniach. „Midasa” umieszczono w Muzeum Kosmonautyki. Potem często odbywaliśmy takie loty. Przywoziliśmy z orbity „Syncomy” z wielkimi płytami baterii słonecznych, podobne do buław „Isytatiele”, ogromne „Conquerory”. W okolicach Księżyca szukaliśmy maleńkich „LOO”. Były i przypadkowe spotkania, ale o tych można mówić bez końca. Znajdowaliśmy w Kosmosie popękane od wewnętrznych eksplozji kadłuby, zniszczone przez meteory, często niemożliwe do rozpoznania. Oglądaliśmy najbardziej tajemnicze z wojskowych satelitów ostrzegawczych, antysatelity, nosiciele bomb i rakiet. Widzieliśmy na orbicie naukowe laboratoria, z których nikt nigdy nie miał pożytku, gdyż zawiodła łączność. Były satelity, z których niegdyś miały startować do dalekich lotów sondy międzyplanetarne. Tkwiły one teraz w labiryncie skomplikowanych konstrukcji i wyglądały żałośnie z rozpostartymi skrzydłami ogniw krzemowych i prętów-anten...

— Pięknie — powiedział mi senator Carrayan. — Pan mówi jak z książki. A jak było z „Krwawym Billem?”

— Miałem szczęście — powiedziałem. — Chodzi o to, że jego rakiety były już niegroźne, bo zapalniki uległy zniszczeniu na skutek korozji, i gdy „Krwawy Bill” mnie spostrzegł i odpalił rakiety, żadna z nich nie eksplodowała. Trafiły wszystkie w zbiornik masy odrzutowej i uwięzły w wewnętrznej elastycznej wykładzinie. Wyszedłem w skafandrze na zewnątrz i po kolei powyciągałem z pancerza wypalone łuski. A „Krwawy Bill” był już bezbronny.

— To wszystko? — zapytał senator Carrayan. — O ile wiem, prasa pisała wtedy wiele

o panu i pannie Thompson. A propos: widziałem ostatnio nowy film panny Thompson. Bardzo dobrze czuje się w roli aktorki.

— Tak — rzekłem. — Po „Krwawym Billu” oboje byliśmy dość popularni.

Senator Carrayan znów się uśmiechnął.

— Także i w Senacie, i w Kongresie — powiedziałem. — Wtedy kongresman Litchfield zwrócił uwagę, moim zdaniem słusznie, na zbyt małe możliwości Sekcji. Właśnie po jego wystąpieniu wyodrębniono nas z Małego Patrolu jako samodzielny Departament Ochrony Żeglugi Kosmicznej Przed Pozostałościami Epoki Pionierów.

Senator Carrayan w zakłopotaniu potarł czoło. Powiedział:

— Gdy zostałem mianowany przewodniczącym Komisji Senatu, moim obowiązkiem było poznać jak najlepiej obecny stan waszego Departamentu. Czy to prawda, że macie do dyspozycji flotę pięćdziesięciu statków-holowników o różnych zasięgach, których załogi i obsługę techniczną ocenia się na nie mniej niż tysiąc ludzi?

— Tak — powiedziałem.

— Czy to prawda, że ścięliście wierzchołek jednej z gór w Appalachach, aby tam wybudować radioteleskop o półkilometrowej średnicy anteny?

— Oczywiście — zapewniłem.

— Czy to prawda, że wasz radioteleskop udostępniony został Światowej Federacji Astronomicznej, a statki-holowniki służą do przewożenia wycieczek na wydłużonych orbitach okołoziemskich? To świadczy chyba o nadmiarze posiadanego sprzętu.

— Można i tak uważać — rzekłem na to.

— Wobec tego — sucho powiedział Carrayan — nie pojmuję, czemu ostatnio wasz Departament osiąga tak znikome rezultaty. W ciągu ubiegłych trzech lat informowaliście Kongres o zniszczeniu zaledwie piętnastu dwudziestowiecznych sztucznych satelitów. Oczywiście uznaliśmy to za skutek jakichś nie znanych nam niedociągnięć w waszym Departamencie i dlatego została powołana specjalna Komisja Senatu.

Carrayan zgasił cygaro i kontynuował:

— Nie chcę wysuwać żadnych zarzutów wobec pana Departamentu, ale jako pański przysły wydawca proszę pana: niech pan, generale, przedstawi mi swój pogląd na tę sprawę. Niech pan opowie mi o tej historii tak, jak chciałby pan opisać ją w swoich pamiętnikach. Pytam z ciekawości, absolutnie nieoficjalnie, panie generale.

Chwilę milczenia, jaka teraz nastąpiła, senator Carrayan wykorzystał na zapalenie drugiego cygara. Słońce zupełnie nagle zajrzało do pokoju i położyło na ścianach złote odbłaski. Senator Carrayan poprawił się w fotelu.

— Dobrze — powiedziałem. — Niech pan posłucha. Nasz Departament, jako instytucja państwowa, stosuje w pracy szczytne zasady gospodarki planowej. Ale od dwudziestu lat, planując likwidację dwustu sztucznych satelitów rocznie, czego wcale nie można uważać za plan wygórowany, nie wykonaliśmy żadnego planu nawet w dziesięciu procentach. Dlaczego tak się dzieje, szczerze mówiąc, nie wiem. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego dawniej, gdy byłem członkiem załogi jedyne go patrolowca, potrafiłem odszukać i zlikwidować nie mniej niż siedemdziesiąt obiektów satelitarnych rocznie, gdy obecnie, mimo stosowania w pracy niezawodnych metod, mając do dyspozycji liczną flotę, nie potrafimy odnaleźć nawet dziesięciokrotnie mniejszej ich ilości. Panie senatorze, nad tym problemem myślałem od dawna i przeprowadziłem wnikliwą analizę obecnych możliwości, biorąc pod uwagę chyba wszystko. Obliczyłem skrupulatnie odchylenia spowodowane niedoświadczeniem młodych pilotów. Uwzględniłem błąd wynikający ze zwiększonej perturbacji orbit. W końcu nie zdołałem jednak zredukować wyniku do wartości mniejszej niż czterysta sztucznych satelitów w ciągu roku, co i tak, powtarzam, jest wartością bardzo zaniżoną. Gdy zatem na ostatniej sesji Senatu zażądano ode mnie wyjaśnień, musiałem winą za niepowodzenie obarczyć ślepy los.

— Pozwolił sobie pan jednak — wtrącił senator Carrayan — wyrazić nadzieję, że w

przyszłości sytuacja zmieni się diametralnie.

— Tak — potwierdziłem. — Prawda, że dotychczas przewidywania się nie sprawdziły, ale, panie senatorze, wtedy miałem tylko nadzieję. Dziś mam już pewność.

— Czyżby zdarzyło się coś nowego — zainteresował się Carrayan. — O ile wiem...

— Raczej wziąłem pod uwagę więcej czynników — wyjaśniłem. — Przede wszystkim postęp techniczny. Niedawno w gazetach pojawiły się wzmianki o pierwszych sztucznych satelitach wprowadzonych na orbitę przez rządy Korei, Kenii, Ugandy i Laosu. „Times” podaje, że Angola, Tanganika, Birma oraz Kambodża oficjalnie wyraziły zamiar rozpoczęcia w najbliższym czasie podboju Kosmosu. Urugwaj, Chile, San Salwador, Haiti i Panama utworzyły międzynarodową organizację w tym samym celu, a wkrótce mają się do nich przyłączyć takie państwa, jak Dominikana, Federacja Gujany i Wenezuela. Prezydent Egiptu oraz król Maroka ogłosili wspólny komunikat o wynikach przeprowadzonych badań i o planach na najbliższą przyszłość. Wreszcie przyznam się panu, że zachwycała mnie celność irańskiej rakiety księżycowej, podobnie jak i lot pierwszego tureckiego astronauty.

Senator Carrayan chciał coś powiedzieć, ale nie dałem mu dojść do słowa.

— Drugi czynnik to też postęp techniczny, ale w trochę innym ujęciu. Wprowadziliśmy na orbity okołoziemskie całkowicie zautomatyzowane obserwatoria i stacje radarowe, powiązane siecią połączeń radiowych w nadzwyczaj sprawny system, który powiadamia stacje naziemne o każdym przedmiocie przebywającym choćby przez chwilę między Ziemią a Księżycem. Jeżeli pomyślę o rozmiarach tych satelitów i o ich orbitach, niemal wcale nie podlegających perturbacjom, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w razie potrzeby łatwo je będzie odnaleźć w Kosmosie. Zresztą część najnowszych obserwatoriów orbitalnych zaopatrzyliśmy w instalacje, które umożliwią przyszłym znalazcom jak najszybszą identyfikację i jak najsprawniejsze unieszkodliwienie tych aparatów. Mówię o specjalnych gniazdach dla ładunków dynamitu i zaczepach do urządzeń dźwigowych.

Wydawało się, że senator zaczyna rozumieć. Odłożył cygaro i słuchał jak urzeczony.

— Obecnie sytuacja jest rzeczywiście trudna, ale uważam, że nie wolno tracić optymizmu, panie senatorze.

Senator Carrayan znów włożył cygaro do ust.

— Ani słowem nie wspomniał pan o tych... tych ostatnich incydentach, panie generale.

Zdziwiłem się:

— Jakich?

— Na przykład — rzekł senator Carrayan — minister do Spraw Przestrzeni Kosmicznej Republiki Kenii, niejaki Patrick Warumba, złożył protest przeciwko niszczeniu sztucznych satelitów, które wprowadza na orbitę rząd republiki. Likwidacja tych satelitów miała nastąpić właśnie za sprawą Departamentu.

Zaprotestowałem gorąco.

— Zresztą — rzekłem — rząd Kenii dopuszczał się poważnych uchybień. Nie oznaczał satelitów według ogólnie przyjętego kodu ONZ. Poza tym te satelity były bardzo podobne do dwudziestowiecznych „Midasów” i stąd ewentualne pomyłki.

— Międzynarodowa Akademia Nauk — ciągnął senator Carrayan — ciska na was gromy. Zlikwidowaliście aparat, który zdaniem uczonych był sondą wysłaną przez mieszkańców gwiazdy Wega celem nawiązania z nami łączności. Profesor sir John Aleksander Patrick of Greenshire over Clyde powiedział dosłownie: „Darowałbym tym wandalom nawet to, że zniszczyli sondę. Ale chciałbym od nich się dowiedzieć, co zrobili z pasażerami”.

Namyślałem się właśnie, co odpowiedzieć, gdy na korytarzu rozległ się łoskot. Potem otwały się drzwi i, zapierając się wszystkimi siedmioma parami odnóży, wjechał na salę Shenanlooh w pogniecionym skafandrze, pchany przez pięciu atletycznych policjantów. Wszystkie jego czułki, macki i anteny wyrażały najwyższe oburzenie. Myślał do mnie ze wściekłością:



„Pan obiecywał mi spokój, generale! Czy tak wolno traktować obywatela wolnej planety?!”

Zrozumiałem, że będę musiał podać się do dymisji. Cóż — mogę teraz zacząć pisać pamiętniki. I to ma swoje dobre strony.

## PRZYBYSZE

Mężczyzna w szarym garniturze przekręcił gałkę aparatu radiowego. Z szumu nagrzewanych lamp wyłonił się chaos zgrzytliwych dźwięków jak warkot tysiąca silników naraz. W powodzi elektrycznych trzasków przez głucho dudnienie przedzierały się perliste gwizdy, przechodzące zaraz w ostre, wysokie dźwięki, niknące na granicy słyszalności.

Mężczyzna wyłączył radio. W ciszy pokoju skrzywienie krzesła wydawało się aż nazbyt głośnym dźwiękiem. Ludzie zajmowali miejsca dookoła zielonego stołu, na którym leżały arkusze papieru i reprodukcje fotografii gwiazdzonego nieba. Ucichły wreszcie rozmowy. Mężczyzna w szarym garniturze, oparty niedbale o stół, powiedział:

— Profesor Lawson będzie mówił o zakłóceniach. Proszę panów o zadawanie możliwie zwięzłych pytań. Czas profesora jest bardzo drogi.

Jeszcze raz zaskrzypiały krzesła, wszyscy poprawili się, powydobywali długopisy i bloki. Profesor Lawson wszedł i stanął obok mężczyzny w szarym garniturze. Był niewysoki, ciemnowłosa, oczy miał zaczerwienione od niewyspania. Odczekał chwilę, i kiedy sala się uciszyła, zaczął mówić:

— Podam najpierw panom pewne dane, może mniej istotne, ale chciałbym uniknąć różnych dezinformacji... Zakłócenia fal radiowych ogarnęły Ziemię od czterech dni, uniemożliwiając całkowicie odbiór. Dotyczy to wszystkich zakresów fal używanych w radiotelefonii i radiotelegrafii. Nie dotyczy natomiast fal bardzo krótkich, centymetrowych, na których pracują radary, ale już fale długości używanych przez telewizję są zakłócanie. Oczywiście, nie muszę panom wyjaśniać, jakie to ma znaczenie. Zakłócenia nie ogarniają całej powierzchni Ziemi, ale w przybliżeniu obszar jednej półkuli. Obrót dobowy kuli ziemskiej powoduje przesuwanie się obszaru zakłóceń. Pewne fakty spowodowały, że wysunięta została hipoteza kierunkowej wiązki fal zakłócających, przybywających do Ziemi z zewnątrz, to znaczy z przestrzeni kosmicznej. To tyle na początek. Proszę o pytania.

Podniósł się wysoki, barczysty reporter „New York Times'a”, ale ubiegł go dziennikarz z „Baltimore Sun”, który zapytał, nie ruszając się z krzesła:

— Czy promieniowanie pochodzi od Słońca?

— Nie. Obszar zakłóceń nie pokrywa się z półkulą dzienną, jest przesunięty. Wydaje się przy tym, że wiązka pada w płaszczyźnie ekliptyki — wyjaśnił Lawson.

Reporter „Times'a” zapytał:

— Czy komunikacja z Księżycem i raketami jest przerwana?

— Myśli pan o połączeniach radiowych? Otóż połączenia radiowe udaje się nam utrzymać dzięki radioteleskopom i antenom kierunkowym. Zdarzają się wprawdzie przerwy w łączności, ale nie trwają one długo. To samo dotyczy statków kosmicznych.

Reporter „Daily Telegraph”, rozparty w skrzypiącym krześle, oderwał się od notatnika:

— Czy to wszystko ma związek z promieniami kosmicznymi?

— Jedynym związkiem — powiedział profesor Lawson — jest fakt, że promienie zakłócające przybywają do Ziemi z przestrzeni kosmicznej. Może teraz od razu powiem panom to, co jest chyba najbardziej zaskakujące. Obserwacje dokonane przy użyciu radiote-

leskopów w Jodrell Bank i Mount Palomar wykazują, że źródło promieniowania ma w przestrzeni określone położenie i, co już jest sensacją, porusza się z dość dużą prędkością. Ponieważ obserwacje optyczne nie dają rezultatów, uważamy, że źródło promieniowania ma bardzo małe rozmiary. Określono jednak jego odległość od Ziemi. Wynosi ona około dwustu milionów kilometrów! Ciało promieniujące znajduje się zatem w obrębie Układu Solarnego i porusza się po torze zbliżonym do orbity komet.

— Radioaktywna kometa? — zapytał ktoś z dziennikarzy.

Profesor Lawson uśmiechnął się nieznacznie.

— Ta możliwość jest wykluczona.

W ciszy, która nastąpiła, dały się słyszeć przyspieszone oddechy. Profesor Lawson powiedział, wymawiając słowa wyraźnie i dobitnie:

— Do Ziemi dociera wąski strumień fal radiowych, których źródłem jest poruszające się ciało. Gdyby było ono naturalnym źródłem kierunkowej wiązki promieniowania, względny ruch Ziemi i ciała promieniującego spowodowałby, że Ziemia wyszłaby ze strefy zakłóceń po kilkunastu godzinach. Wiązka fal musi zatem zmieniać położenie w przestrzeni, wciąż kierując się na Ziemię. Oznacza to, że ktoś musi obsługiwać nadajnik i że ten ktoś musi mieć powody, dla których wycelował antenę w Ziemię.

Teraz wszyscy zaczęli krzyczeć naraz. Profesor Lawson stał w zgiełku, uśmiechnięty, reporterzy otoczyli go kołem, ktoś przewrócił krzesło, upadło z hałasem. Profesor Lawson drgnął i uniósł ręce do góry.

— Proszę o ciszę! — zawołał. — To jeszcze nie wszystko!

Czekał, aż reporterzy uspokoją się i zajmą swoje miejsca. Oparty o stół, stał spokojny jak na sali wykładowej, ale jego oczy i bruzda na czole zdradzały, jak bardzo jest zmęczony. Spojrzał na zegarek i zaczął mówić spokojnie i precyzyjnie:

— Hipotezę, że zakłócenia powstają w wyniku zorganizowanej akcji kogoś z zewnątrz, wysunęła specjalna komisja, badająca tę sprawę na wspólny wniosek radia amerykańskiego, brytyjskiego oraz radzieckiego. Nie jest to więc w najmniejszej mierze wytwór fantazji. Może to być pomysł któregoś z nie bardzo zaprzyjaźnionych z nami mocarstw, ale być może mamy do czynienia z przybyszami spoza Układu Solarnego. Panowie zapewne sami zadecydują, która z tych możliwości bardziej zainteresuje czytelników. Nie mogę jeszcze powiedzieć panom, jaka akcja w związku z tym zostanie przeprowadzona. Należy się spodziewać w najbliższym okresie prób zbliżenia się do promieniującego obiektu. To jest wszystko, co mam panom do powiedzenia.

Przedstawiciel brytyjskiego „Times'a”, dystyngowany, siwiejący trochę na skroniach pan, podniósł się z krzesła i zapytał:

— Wydaje mi się, że zakłócenia łączności radiowej można uważać za akt wrogi. Czy wobec tego nie należy przyjąć, że grozi nam, to znaczy Ziemi, niebezpieczeństwo?

Profesor Lawson nie odpowiedział od razu. Wszyscy patrzyli na niego. Anglik usiadł i czekał z obojętną miną. Wreszcie profesor Lawson rzekł:

— Można oczekiwać wszystkiego. Dziękuję panom.

Spikerka poprawiła nerwowym ruchem wielkie, rogowe okulary.

— Jeszcze przez trzy kwadransy mogą państwo oglądać nasz program. Według ostatnich informacji strefa radiozakłóceń pokrywa już większą część Oceanu Atlantyckiego, zbliżając się na odległość czterystu mil do wybrzeży Ameryki... Przypominamy naszym telewidzom o konieczności wyłączenia aparatów telewizyjnych w obrębie strefy zakłóceń. W przeciwnym wypadku może dojść do uszkodzenia aparatu... Nim rozpoczniemy bezpośrednią transmisję z Przylądka Kennedy'ego, podam jeszcze państwu ostatnie wiadomości dotyczące źródła zakłóceń. Jak twierdzą astronomowie z obserwatorium na Mount Palomar, udało się zaobserwować ciało promieniujące za pomocą teleskopu optycznego. Obliczono także

parametry toru lotu radioźródła, przy czym potwierdzono podaną poprzednio nieoficjalnie wiadomość, że orbita ciała promieniującego przechodzi przez tarczę słoneczną. W ten sposób, jeśli nie nastąpią zmiany orbity, ciało promieniujące w ciągu kilku tygodni osiągnie chromosferę Słońca.

Spikerka odłożyła na bok kartkę i spojrzała w dół, na następną:

— Jeszcze tylko wiadomość z ostatniej chwili. Agencja TASS podaje, że nie jest prawdopodobne, by w ciągu najbliższych godzin radziecki kosmonauta dokonał manewru zbliżenia do radiatora. Próbę tego rodzaju uniemożliwia fakt, że kosmodromy radzieckie znajdują się obecnie wewnątrz strefy zakłóceń. Związek Radziecki zapowiada jednak, że manewr spotkania z ciałem promieniującym wykona w wypadku niepowodzenia eksperymentu amerykańskiego... Jest godzina dziesiąta rano. Za chwilę nasza stacja transmitować będzie przebieg startu amerykańskiego astronauty Harolda McLeana, z bazy Małego Patrolu na Przylądku Kennedy'ego.

Żegna państwa Susan Bright z rozgłośni telewizyjnej w San Francisco.

Spikerka złożyła kartki z tekstem i obraz nagle zamigotał. Gdy wyostrzył się ponownie, ukazała się okrągła oznaka NASA na wielkiej, upstrzonej gwiazdami planszy. Jednocześnie męski głos zaczął mówić bardzo szybko:

— Z Przylądka Kennedy'ego mówi do państwa John O'Connor. Za chwilę z kosmodromu Małego Patrolu wystartuje siedemsettonowa rakieta „Titan III” z astronautą kapitanem Haroldem McLeanem na pokładzie. Zadaniem kapitana McLeana będzie zbliżenie się do tajemniczego obiektu, który tak daje się we znaki mieszkańcom starej Ziemi już od kilku tygodni. Uczni spodziewają się niejednej rewelacji. Wspomnę państwu o hipotezie, która jest najbardziej fantastyczna i jednocześnie najprawdopodobniejsza. Głosi ona, że radioźródło jest statkiem kosmicznym spoza Układu Słonecznego. W takim razie kapitan Harold McLean, młodzieńcy chłopiec z Teksasu, może być pierwszym człowiekiem Ziemi, który poda rękę naszym śródgwiazdowym braciom. Ale zapewne plansza znudziła się już państwu, poproszę więc, żeby ustawiono kamerę w stronę wyrzutni. Widzą teraz państwo wyrzutnię, wieżę startową, raketę. Tak, ta potrójna kolumna to właśnie rakieta „Titan III”. Składa się ona jakby z trzech połączonych rakiet. Kabina jest już na szczycie, to ta ciemniejsza walcowo-stożkowa część, ale astronauta przebywa jeszcze w mesie pilotów. My tymczasem podjedziemy bliżej wyrzutni, a przy okazji spróbujemy odnaleźć bohaterów dzisiejszego eksperymentu. Państwo tymczasem obejrzą sobie raketę, ciągle ją jeszcze mamy w polu widzenia. Właśnie zbliża się wielki samochód strażacki i drugi, sanitarny. Mam nadzieję, że nie będą one potrzebne...

Spiker przerwał, by podjąć zaraz z nie mniejszą energią:

— Mam bardzo przyjemną wiadomość: naszym gościem jest profesor Lawson z Centrum Obliczeniowego w Houston, przewodniczący specjalnej komisji NASA do spraw pozaziemskiego radiatora. Oto i pan profesor. Czy zechce pan powiedzieć coś na temat dzisiejszego eksperymentu?

Profesor Lawson zaciskał usta. Jednak gdy zorientował się, że kamera patrzy na niego, próbował uśmiechnąć się, co wyszło niezupełnie dobrze.

— Astronauta wejdzie najpierw na orbitę okołoziemską, wydłużoną orbitę eliptyczną o apogeum dziesięciu tysięcy kilometrów. Punkt apogeum jest tak dobrany, by był on jak najbliższy torowi radiatora. Ponadto, jeżeli wszystko pójdzie dobrze...

Profesor urwał nagle. Patrzył przez chwilę w bok, ale zaraz powrócił do przerwanej wątku.

— Więc jeżeli się uda, astronauta znajdzie się w tym punkcie jednocześnie z ciałem promieniującym. Wtedy włączone zostaną silniki i kabina przejdzie na orbitę pokrywającą się z torem lotu radioźródła. Wtedy... wtedy astronauta postąpi tak, jak będzie uważał za stosowne... Ale przepraszam teraz pana. Zresztą i tak nie mógłbym nic ciekawego powiedzieć. Ja sam właściwie jestem tu gościem, przepraszam.

Profesor odsunął się od kamery, która zaraz odwróciła się ku wyrzutni. John O'Connor milczał przez chwilę, ale zaraz powiedział radośnie:

— Mamy szefa! Przedstawiam wszystkim telewidzom samego komendanta kosmodromu i szefa Małego Patrolu, generała Breggsa. Pan pozwoli, generale. Choćby chwilę. Telewidzowie czekają. Czy powie pan coś telewidzom, generale? Dobrze? Słuchamy.

Generał Breggs, w granatowym uniformie NASA, z wielką odznaką na piersi, wypełnił swoją postacią prawie cały ekran. Uśmiechnął się, zmarszczył czoło, wreszcie zaczął mówić:

— Może powiem, jak powstał Mały Patrol. Więc zaraz po Układzie Sztokholmskim wszystkie rakiety bojowe straciły oczywiście znaczenie. Pozostało ich jednak tak wiele, że trudno było myśleć o oddaniu ich na złom, byłoby to zbyt jaskrawym marnotrawstwem — wiele z tych rakiet kosztowało ponad milion dolarów! Wtedy rząd postanowił przekazać cały kram do dyspozycji NASA, a my, przynaję, nie wiedzieliśmy z początku, co z tym właściwie zrobić. Zresztą, rozumieją państwo, to taki problem, jaki miałyby na przykład myśliwy, który zamiast sztucera dostałby na przykład moździerz. Ale w końcu takie rakiety jak „Atlas” udało się wykorzystać do wyrzucania sond kosmicznych, chociaż adaptacja kosztowała bardzo wiele. „Minutemany” nie nadawały się do niczego, ale „Titany” wszystkich typów po modernizacji okazały się przydatne do lotów kosmicznych. Powstał wtedy projekt, wysunął go, jeżeli dobrze pamiętam, pułkownik Milton, stworzenia w kilku kosmodromach rezerwy rakiet i kabin kosmicznych, które startowałyby w wypadku jakichś katastrof na orbicie — takie kosmiczne pogotowie ratunkowe. Potem postanowiono organizować też loty patrolowe w przestrzeni Ziemia—Księżyc, i to wszystko nazwano Małym Patrolem.

Generał Breggs spojrział na zegarek i zaraz zniknął z ekranu. Znowu ukazała się rakietą, oglądana z bliska, przez ekran przesunęły się kratownice wieży montażowej, na samym szczycie astronauta w srebrzystym skafandrze wsiadał w asyście kilku ludzi do swojej kabiny. John O'Connor przekreślił ku sobie kamerę i spojrział w obiektyw.

— Niestety — powiedział — nie mamy szczęścia. Astronauta, jak widzieli państwo przed chwilą, znajduje się już na pokładzie rakiety. Przepraszamy bardzo telewidzów, postaramy zrehabilitować się zaraz po powrocie kapitana McLeana z Kosmosu. Wtedy nam nie ujdzie. Za kilka minut nastąpi start, musimy odjeżdżać od wyrzutni. Pewien pan w białym hełmie daje nam znaki chorągiewką i coś krzyczy. Odjeżdżamy.

Przez ostatnie minuty pan O'Connor prawie milczał. Kamera patrzyła w stronę wyrzutni. Wieża montażowa odsunęła się od rakiety, która stała teraz sama na zakłętym, betonowym placu. Głośniki, rozmieszczone wszędzie dookoła, beznamytnie podawały malejące liczby, wreszcie O'Connor zaczął liczyć razem z nimi, aż powiedział:

— Zero!

Rakietą wystartowała na słupie czarnego dymu. Kamera prowadziła ją tak daleko, jak mogła, aż wreszcie na ekranie pozostała tylko, poszarpana wiatrem, czarna kolumna. Telewidzowie odetchnęli spokojniej. Wtedy na ekranach telewizorów w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej pojawiło się wielkie zdjęcie astronauty w hełmie z otwartą, szklaną przyłbicą, a głos spikera oświadczył, że Harold McLean został astronautą dzięki niezwykłym właściwościom pasty do zębów Jacksona.

— Mój Boże — powiedział Harold McLean do mikrofonu, który tym razem zachowywał absolutną dyskrecję. — Teraz ja muszę myśleć za całą Ziemię!

Statek Przybyszów unosił się sto metrów powyżej Harolda, który oddalił się od swojej kabiny na całą długość osiemdziesięciometrowej liny asekurującej. Musiał uwolnić się od niej. Odpiął karabinek i wycelował swój pistolet odrzutowy w Ziemię. Pchnięty łagodnym odrzutem zaczął oddalać się od wiszącego bezwładnie końca liny. Ostrożnie poruszając rękami Harold McLean ustawił się w ten sposób, by wyraźnie widzieć statek Przybyszów. Na tle matowo lśniących ścian podługowatego graniastosłupa rysowały się rzędem czarne otwory. U

jednej z krawędzi, na długim wysięgniku, zwieszała się kulista czasza, przypominająca antenę kierunkową. Harold przyjrzał się jej uważnie i spostrzegł, że antena zwrócona jest w stronę Ziemi.

Minał antenę o kilkanaście metrów. Statek rósł coraz szybciej. Harold musiał wystrzelić jeszcze raz z pistoletu, by nie zderzyć się zbyt gwałtownie z metalowymi ścianami. Leciał teraz o kilka metrów od nich i wyraźnie widział spojenie wielkich płyt. Zaglądał też do czarnych otworów obrzeżonych złotym metalem, ale widział w nich tylko mrok. Gdy wreszcie dotarł do końca statku, zrozumiał, że popełnił błąd, chcąc tu szukać wejścia. Kielichowate kształty, które widział jeszcze z kabiny, były niewątpliwie dyszami rakiet. Między nimi niesamowicie lśniło wklęsłe zwierciadło, zwrócone dokładnie w kierunku Słońca.

Wtedy Harold poczuł na plecach podmuch — zupełnie jak podmuch łagodnego wiatru. Zanim uświadomił sobie absurdalność tego skojarzenia, niepojęta siła przesunęła go o kilkadziesiąt metrów wzdłuż kadłuba statku. Lecąc tak z wciąż rosnącą prędkością, zauważył gdzieś pod nogami błyszczącą kabinę z otwartą klapą wjazdu, linę asekuracyjną jak srebrną nitkę na czarnym aksamicie. Wycelował pistolet odrzutowy przed siebie, wystrzelił połową ładunku. Szarpnięcie było silne, ale prędkość ciągle rosła, nie wystarczało odrzutu, by ją wyhamować. Zbliżał się do drugiego końca statku, gdzie graniastosłup przechodził w gruszo-watą bryłę. Na jej powierzchni paliły się iskierki jak odbicia światła gwiazd. Zobaczył jeszcze seledynowo oświetlony otwór i zaraz potem, łukiem zmieniając kierunek lotu, znalazł się we wnętrzu statku Przybyszów. Za Haroldem zamknęła się okrągła klapa.

Harold McLean przypuszczał, że jest sam w sali konferencyjnej. Zgodnie z ceremoniałem opuścili ją już dostojnicy planety Ziemi, zmęczeni licznymi mowami i orędziami. Podążyli za nimi dziennikarze i reporterzy telewizji. W rogu sali, pomiędzy dwiema kolumnami w stylu jońskim, stała maszyna tłumacząca Przybyszów, przedziwny twór z szarego metalu, wsparty na pajęczych nogach. Harold podszedł do niej i wtedy spostrzegł za pulpitem maszyny siedzącego nieruchomo Przybysza. Wydawał się częścią konstrukcji aparatu w swoim kanciastym skafandrze bez jakichkolwiek przezroczystych części. Przybysz pochylił się, obracając na Harolda receptory wzrokowe.

— To ty nas odnalazłeś w przestrzeni? — zapytała maszyna.

Harold zauważył, że Przybysz porusza się dziwnie za swoim pulpitem.

— To jest śmiech — wyjaśniła maszyna. — Nie przyjmuj tego niewłaściwie. Ale uważam, że powinieneś znać prawdę.

— Dlaczego? — zapytał Harold automatycznie.

— Ponieważ nas odnalazłeś. To jeden z powodów. Są i inne, ale to nieważne. Nie zastanawiaj się nad tym — poradziła maszyna.

Przybysz znów poruszał się dziwnie.

— Powiedzieliśmy wam, że jesteśmy poselstwem z Galaktycznej Wspólnoty Ras. To nieprawda. Jestem dowódcą statku badawczego, który leciał do Układu Łabędziego, gwiazdy, którą nazywacie Deneb. W pobliżu Słońca dostaliśmy się w wyniku katastrofy. Eksplozja zniszczyła cały silnik naszego statku. Szczęściem nie lecieliśmy z prędkością przyświatlną i pozostała nam nadzieja na ratunek. Ale wkrótce utraciliśmy tę nadzieję. Statek dostał się pod wpływ grawitacyjnych sił Słońca. Tor naszego lotu był torem bezwładnego spadku na Słońce. Statki, które odebrały nasz sygnał, były zbyt daleko od nas, by przynieść nam pomoc. I wtedy ktoś z załogi odkrył w elektronicznej pamięci naszego statku, w jej archiwalnych, rzadko odwiedzanych zakamarkach, opis jednej z planet Układu Solarnego, badanej przed dwoma tysiącami i przed tysiącem lat. Na tej planecie, trzeciej od Słońca, istniała cywilizacja. Była to dla nas ostatnia szansa. Nie wiedzieliśmy, jak porozumieć się z wami. Postanowiliśmy wypromieniować całą moc naszych siłowni w postaci fal radiowych o długościach stosowanych w łączności. Pomysł ten okazał się szczęśliwy.

Maszyna zamilkła na chwilę. Przybysz uniósł się zza pulpitu.

— Kiedy stanąłeś na pokładzie naszego statku, nie wiedzieliśmy jeszcze, jak porozumieć się z Ziemianinem. Ale w archiwum odnaleźliśmy wzory kilku starożytnych języków. Zadając ci pytania, używaliśmy kolejno staroegipskiego, starogreckiego, jednego z chińskich dialektów, sanskrytu i łaciny. Staroangielskiego nie rozumiałeś również, ale maszyna tłumacząca, korzystając z nasłuchu waszych audycji radiowych, przemówiła współczesnym językiem. Dzięki temu rozumiałeś, że potrzebujemy pomocy, chociaż nie powiedzieliśmy tobie całej prawdy.

— A teraz? — zapytał Harold oszołomiony. — Dlaczego teraz nie powiedzieliście prawdy?

Ale oto weszli do sali woźni i Harold nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

## NAJDALSZA PODRÓŻ PREZYDENTA

Dobiegła końca wizyta delegacji rządowej Altairu na naszej planecie. Przez z górą półtora roku nasi goście prowadzili rozmowy na najwyższych szczeblach drabiny dyplomatycznej, odwiedzając wszystkie kraje na wszystkich kontynentach. Rzeczowa atmosfera tych rozmów i widoczna dbałość gości o interesy obu stron zyskała im powszechne uznanie. Z pełnym zaufaniem przyjmowano twierdzenia członków delegacji o wielkiej wadze, jaką Altair przywiązuje do rozwoju przyjaznych stosunków z Ziemią.

„Jest to nowa era nie tylko dla was” — powiedział przywódca delegacji Altairu w odpowiedzi na powitalne przemówienie prezydenta, który mówił o „początku nowej epoki” — „Galaktyka patrzy z radością, jak Ziemia porzuca dawne odosobnienie i zwraca się twarzą ku gwiazdom”. Doświadczeni dyplomaci przyjęliby to oświadczenie jako co najwyżej dowód kurtuazji, ale uwaga, jaką goście poświęcili sprawom procedury i protokołu, przekonała wszystkich ostatecznie, że przybysze mają poważne zamiary.

Może właśnie dlatego goście rozpoczęli swoją wizytę od spektakularnego gestu \*. Także i później nie pominęli żadnej okazji ku temu. W związku z uroczystością złożenia wieńców na miejscu katastrofy statku, znanego także jako „tunguskie dziwo”, jeden z przybyszów powiedział sentencjonalnie: — „Wieniec złożony przez dyplomatę jest trwalszy niż jego uśmiech”.

Oczywiście, podpisy są jeszcze trwalsze, a tych nie brakowało. Zebrane dokumenty zawartych porozumień i układów dorównują swą objętością Encyklopedii Brytyjskiej. Dzięki nim nie ma już na kuli ziemskiej krajów, które by nie miały wspólnych przyjaciół. Przybysze okazali wiele taktu, gdy zamiast o jednostronnej pomocy, mówili o „wzajemnych korzyściach” i „wymianie naukowej”, chociaż dystans, dzielący ich cywilizację od naszej ocenia się na siedemset lat. „Jest to przykład godny naśladowania dla naszych uczonych” — powiedział senator Dullbright. — „Oni wciąż jeszcze uważają, że parę lat studiów daje im prawo nas pouczać”.

Wydaje się, że nasi uczeni, których na początku wizyty ogarnęło coś w rodzaju euforii, ostatecznie w jej toku się rozczarowali. Znany fizyk brytyjski, sir Basil Thornope, skarżył się w liście do „Nature”, że podczas trzydniowych rozmów przybysze tłumaczyli mu zasady dynamiki Newtona. Goście nie znaleźli czasu dla odwiedzin MIT ani Caltechu, natomiast przez dwa dni delegacja w pełnym składzie podziwiała wodospad Niagara. „Przypuszczam, że oni

\* Chodzi o termojądrowy salut powitalny.

po prostu nas nie rozumieją” — powiedział w imieniu fizyków sir Basil Thornope.

Więcej zainteresowania przybysze okazywali wiedzy astronomicznej. Podczas wizyty na Mount Palomar prosili gospodarzy obserwatorium o skierowanie teleskopu na Altair, po czym kolejno oglądali swoją rodzinną gwiazdę; wyjaśniono, że międzygwiazdny protokół dyplomatyczny przewiduje taką ceremonię. W związku z tym mniej światła państwa, oczekujące wizyty, zaczęły w pośpiechu budować obserwatoria, a cena używanych teleskopów gwałtownie wzrosła. Szejk Kuwejtu rozkazał nawet pożłocić nowo nabyty refraktor.

Do curiosów wypada zaliczyć fakt, że przybysze zwracali się z pytaniami do dziennikarzy uczestniczących w konferencjach prasowych. „Technologia zmienia się z dnia na dzień” — oświadczył jeden z członków delegacji — „nas interesuje to, co trwałe”. Podobno chodziło mu o Człowieka. Może dlatego ludność odwiedzanych krajów tak gorąco podejmowała przybyszów. Jedyne studenci paryskiej Sorbony zorganizowali hałaśliwą demonstrację pod niezupełnie rozsądnym hasłem: „Ziemia tylko dla ssaków”.

Z podsumowaniem rezultatów wizyty gości z Altairu należy jeszcze poczekać. Uważa się raczej za dobry znak, że przybysze skłaniali się w kierunku umów długoterminowych. W kołach gospodarczych podkreśla się wagę kooperacji z Altairem jako czynnika łączącego wszystkie kraje naszego globu. Niestety, nie można także pominąć skutków wstrząsu, jaki przeżyli przedstawiciele Ziemi, gdy podczas pożegnania przybyszów na polu startowym przewodniczący delegacji oświadczył, że Altair oczekiwać będzie rewizyty z Ziemi w ciągu najbliższych trzech lat. „Będzie ona miała decydujące znaczenie dla wzajemnych stosunków” — powiedział on. Jak wiadomo, Altair jest odległy od Słońca o szesnaście lat świetlnych.

„Przyjeliśmy ich jak najlepiej”, miał w związku z tym powiedzieć pewien mąż stanu. — „Kto mógł przypuścić, że na pożegnanie zrobią nam takie świństwo?”

## AMBASADOROWIE

Wprawdzie Khoggo ani wyglądem, ani składem chemicznym nie różnił się od zwykłego kamienia (od którego zresztą pochodził), jednak mieszkańcy śmietnika dobrze znali jego prawdziwą naturę. Oczywiście znajomość była wzajemna. Emisji fal podprzestrzennych trudno nie zauważyć, zwłaszcza takiemu specjalście w tej dziedzinie, jakim był Khoggo; a ścieżki osób, które zajmują się tym samym, muszą przecinać się w wielu różnych miejscach.

Wreszcie wspólne zainteresowania stanowią dobrą podstawę do nawiązania znajomości, a jeśli nawet ma się coś do ukrycia, nie szkodzi udawać, że jest akurat odwrotnie.

Jeżeli to było konieczne, Khoggo potrafił się poruszać; ale zazwyczaj spoczywał spokojnie, do połowy zagłębiony w ziemię, w pobliżu zardzewiałej puszeki albo pożółkłej kartki papieru, w których trudno by było doszukać się czegoś godnego uwagi; jednak Khoggo dobrze wiedział, że w ten sposób najpewniej zdoła zaintrygować innych mieszkańców śmietnika. Khoggo zupełnie zasłużenie uważany był za naprawdę przebiegłego. Inna rzecz, że ta chytrłość nie zawsze służyła ważniejszym celom niż zabawienie Khogga. Teraz także nie próbował badać swojego bezpośredniego otoczenia; nie poruszając się, spowolniony swój Cykl Życiowy, czekał po prostu, aż się coś wydarzy.

W pewnej chwili coś uderzyło o puszkę i tuż przed nosem Khogga posypały się grudki ziemi. Ffang jak zwykle uważał, że musi zwracać na siebie uwagę, efektami akustycznymi. Mieścił się doskonale w płaskim odłamku cegły i był jednym z najbardziej ruchliwych mieszkańców śmietnika. Czasami wypuszczał się na dalekie wyprawy i opowiadano, że raz bawiące się dzieci użyły go zamiast dysku. Stanowiłoby to wspaniałą historię w raporcie do

centrali, ale wyglądało na to, że Ffang o tej sprawie milczał.

— Dziś nic nowego — powiedział. — Same butelki po piętnaście biletów. Można pomyśleć, że jesteśmy na pustyni.

(Naturalnie, Ffang mówił po ziemsku; jeżeli ktoś uważa to za dziwne, niech się zastanowi, jaki właściwie język musieli znać wspólnie wszyscy mieszkańcy śmietnika. Za to zamiast głosu Ffang posługiwał się falami podprzestrzennymi, które są znacznie wygodniejsze i dla ludzi zupełnie niesłyszalne. Można by je porównać do telepatii, gdyby ona oczywiście istniała.)

W odpowiedzi na to Khoggo odwrócił się wewnątrz swojego kamienia. Śmieci wyrzucano najczęściej z drugiej strony śmietnika, gdzie zatrzymywały się samochody: codziennie była to okazja do zbiórki niemal wszystkich mieszkańców śmietnika. Sam Khoggo rzadko bywał obecny, ponieważ po cichu wyznawał teorię, że nie można zrobić odkrycia i zaraz się nie wygadać; wolał przeprowadzać sam swoje poszukiwania, a w gromadzie pojawiał się tylko wtedy, gdy zaciekało go coś, co podsłuchał. Tego dnia jeszcze nie widział nowych śmieci, ale nie miał też żadnego powodu, żeby nie wierzyć słowom Ffanga.

— Gazety piszą o likwidacji śmietników — ciągnął tamten. — Podobno wynaleziono taką maszynę, która zgniata samochód w foremny sześcian. Przeczytałem, że śmietniki są „wąskim gardłem cywilizacji”. Zobaczysz, przyjdzie czas i będziemy musieli się stąd zabierać. Wszyscy ruszymy w szeroki świat, Khoggo!

Khoggo dobrze wiedział, że Ffang próbuje go zirytować i w ten sposób sprowokować do mówienia; nie miał zresztą zamiaru odmówić mu tej przyjemności. Rozmowy mieszkańców śmietnika rzadko zawierały wiele istotnych informacji: z przyczyn językowych i ze względu na głębokie różnice strukturalne niemal zawsze ograniczały się do spraw, które były przedmiotem bezpośrednich zainteresowań rozmawiających. Najczęściej była to wymiana cytatów z przeczytanych gazet, oczywiście jeżeli pominąć zwyczajne plotki towarzyskie. Te ostatnie były uważnie podsłuchiwane i szczególnie urozmaicały życie na śmietniku.

— Zawsze myślałem, że śmietniki stanowią ognisko cywilizacji — powiedział sentencjonalnie Khoggo. — Teraz też tak uważam. Nie ma produktu cywilizacji, którego droga nie prowadziaby na śmietnik. Tu gromadzą się przedmioty używane, ze śladami, które wskazują, w jaki sposób ich używano, i nigdzie szczegóły technologii nie wychodzą na jaw łatwiej niż w warunkach śmietnika. Wreszcie tu gromadzi się informacja odrzucana przez cywilizację; moim zdaniem więcej można z niej uzyskać niż z tej informacji, którą cywilizacja przyjmuje. To są zasady, na których opiera się moja misja na Ziemi, i ja z nimi zupełnie się zgadzam. Oczywiście nie mogę wiedzieć, co myśli się na Arkturze.

Ffang nic nie odpowiedział. Wiercił się w miejscu, zostawiając czerwony ślad na puszcze. Khoggo starał się nie patrzeć w jego stronę. Ponieważ sam nie lubił poruszać się bez potrzeby, nadmierną ruchliwość innych uważał prawie za osobistą obrazę. Przejawiał się w tym atawizm; współcześnie w ojczyźnie Khogga nikt nawet nie próbowałby zarzucić mu lenistwa. Po chwili Khoggo podjął swoje wywody:

— Cywilizacja jest Strefą Podwyższonej Organizacji. Wiadomo, że dookoła takiej strefy powstaje zawsze Obszar Podwyższonej Dezorganizacji, zgodnie z bardzo ogólnym prawem natury. Dotyczy to w równym stopniu kultury materialnej, jak i umysłowej. Porządek tworzy nieporządek; jest to słuszne w każdym punkcie Wszechświata. Jednak jako nie tylko Prawo, ale i Paradoks natury, prawda ta nie od razu daje się powszechnie zrozumieć. Wypowiadane są więc i odmienne poglądy. Na przykład takie, o których wspominałeś. Oczywiście ani trochę nie podważa to prawdziwych zasad: przeciwnie, jeszcze raz je potwierdza. Tyle chciałem powiedzieć, Ffang.

Jednocześnie Khoggo zogniskował swoje receptory na Ffangu; ale Ffang wcale nie wydawał się speszony.

— Temu nie przeczę, Khoggo — powiedział. — Miałem na myśli zmiany przejściowe.



Wiesz doskonale, że możliwe są różne odchylenia. Przypomnij sobie o tym, co działo się na Procjonie, albo o stagnacji i upadku Haddamarów. Profesor William Harrows z Uniwersytetu Kalifornijskiego nie zamierza ukrywać niebezpieczeństw, związanych z dalszym wzrostem gospodarczym. Cierpimy na nadmiar dóbr materialnych powodujących nadmierną konsumpcję. Człowiek utracił kontakt z naturą — mówi profesor Konrad Lorenz. Jakie alternatywy pan proponuje dla... — widzisz, Khoggo? Takie rzeczy znajdują niemal na każdej kartce papieru.

— Ale zapominasz o imponderabiliach — przerwał mu Khoggo, niezadowolony z takiego obrotu rozmowy. — „Stare śmieci” to przecież zwrot o wyraźnie dodatnim zabarwieniu; to coś, do czego się wraca. O Nowym Jorku czytałem, że powoli zamienia się w wielki śmietnik; ale na tej samej stronie było napisane, że jest on miastem o niepowtarzalnym charakterze. Dyskusje toczą się zawsze, ale zwycięża pogląd, który ma większe podstawy w praktyce. Tradycja i obiektywne prawa rozwoju wspierają się nawzajem, bo w wyniku działania tych praw powstaje tradycja.

(Wbrew pozorom Khoggo wcale nie był taki pewny siebie. Szczególnie argument o Nowym Jorku wydawał mu się mało przekonujący. Ale, jak już zostało powiedziane, działał tu atawizm.)

— W porządku — rozpoczął Ffang, ale w tej samej chwili usłyszeli pozdrowienie, i czerwony, błyszczący przedmiot znalazł się pomiędzy nimi. Była to Margały przybywająca z kolejną wizytą do Khogga. Jako jedynaczka tutejszych kolonii, Margały uważała za punkt honoru podkreślanie swojej wrażliwości estetycznej i szczególnej odrębności logiki, którą się posługiwała. W rzeczywistości kolorowe szkielko ukrywało jednego z najbardziej wytrawnych szpiegów, jakimi dysponowała Służba Informacyjna na Altairze. Wszyscy domyślali się prawdy o Margały, ale domysły to jednak nie to samo, co pewność, tym bardziej, że każdy swoje zdanie zachowywał dla siebie. Dlatego przyjęta rola opłacała się Margały.

(To, że Natura w różnych miejscach świata wybiera takie same drogi, nie powinno się wydawać dziwne. Dwie płci stanowią najprostsze rozwiązanie, a intelekt jest znacznie bardziej uniwersalny, niż się na ogół przypuszcza. Zresztą Khoggo pochodził z gwiazdy znacznie odleglejszej od Altaira niż Ziemia, a więc to on raczej miałby prawo się dziwić.)

— Wy zawsze rozmawiacie o czymś ciekawym — powiedziała Margały do Ffanga i Khogga. — Ale za to jak nudzę się na innych wizytach! Ryył i Ao są chyba najgorsi. Przez cały czas przerabiają zadania szachowe. „Wskazać najsilniejszą kontynuację” albo: „Mat w dwóch posunięciach”. A znów Gumm ciągle rozwiązuje krzyżówki, bo, jak mówi, umysł najlepiej odpoczywa w działaniu.

— Rozmawialiśmy o przyszłości — wyjaśnił Ffang. — Uważam, że czeka nas wędrówka, ale Khoggo nie zgadza się ze mną.

— Ach, nie? — rzekła Margały. — Sama dziś byłam na spacerze. Rano była piękna pogoda, niebo odbijało się w kałużach i osty były tak piękne! Niektóre kałuże pokrywała warstewka benzyny: jakie efekty barwne! Oczywiście mówię o kałużach w pobliżu drogi, para benzyny kondensuje się tam z powietrza. Samochody nie spalają benzyny całkowicie. Oczywiście to prawdziwe marnotrawstwo energii.

— A co ty o tym myślisz, Ffang? — zapytał złośliwie Khoggo.

Ffang poruszył się niespokojnie. Pomyłka, którą Ffang popełnił, gdy wrak starego samochodu porzuconego na śmietniku uznał, nie zadając sobie trudu obejrzenia silnika, za pojazd elektryczny i przekazał swój werdykt zaraz na Arktura, stała się tematem jednej z najbardziej popularnych anegdot na śmietniku. Ffang nie miał sobie za złe pomyłki, ponieważ pojazd napędzany benzyną wydawał mu się nie do pogodzenia ze zdrowym rozsądkiem; ale żałował, że nie zaszyfrował przekazywanej informacji. Ponieważ wcale jej nie sprostował, śledził teraz z uwagą postępy prac nad samochodami elektrycznymi: chociaż nie obawiał się inspekcji, widmo przyszłego zmiennika trochę go niepokoiło.

— Powiedz, co o tym myślisz, Margały — powiedział pośpiesznie. — Zastanawiam się, czy wybraliśmy najwłaściwszą taktykę eksploracji. Khoggo uważa, że śmietnik jest ogniskiem, w którym skupia się cały obraz; ale jeżeli nie jest jedynym ogniskiem...

— Nie wmawiaj mi niczego — wtrącił zirytowany Khoggo.

— Sama nie wiem — powiedziała Margały. — Ale jesteśmy tu po to, żeby badać, czym ludzie różnią się od nas, a nie czym nas przypominają, prawda? Ich cywilizacja techniczna wydaje mi się bardzo nieciekawa. Nudzą mnie te szczegóły: co było najpierw, benzyna czy para? Tym, co cenię najbardziej, jest ich kultura ogólna, a szczególnie sztuka. Uważam, że mają w niej prawdziwe osiągnięcia, jak na przykład „Dover Pięć. Trup przychodzi po komisarza”. Streściłam tę książkę w moim ostatnim raporcie dla Altaira.

— Nie wiedzą nic o podprzestrzeni — rzekł Khoggo w zamyśleniu — a matematyka służy im do liczenia przedmiotów użytkowych, jak wynika z problemów opisanych w książce, którą znalazłem w zeszytym roku. Oczywiście musieli dokonać czegoś od tamtej pory; bądź co bądź ta książka znalazła się na śmietniku. Do gwiazd im jednak daleko w każdym razie. Uważam — ale oto i deszcz, Margały! Pogoda zmienia się teraz z godziny na godzinę.

Iyx przybrał aktywną postać i wy dostał się na zewnątrz spróchniałego pnia drzewa, które służyło mu za miejsce do rozmyślań. Jako przybysz z Centrum Galaktyki był niewidzialny dla prymitywnych, podprzestrzennych zmysłów pozostałych mieszkańców śmietnika. Nie interesowały go ich rozmowy; właściwie przestał zdawać sobie sprawę z tego, że pochodzą oni spoza tej planety. Unosząc się swobodnie w powietrzu, uważnie obserwował spadające krople. Wysubtelnione perceptory Iyxa rejestrowały dokładnie szczegóły ich budowy. Każda kropla była inna; tylko natura potrafi wytworzyć taką różnorodność.

Chłodny umysł Iyxa nie przeceniał zalet naprawdę dzikiej Natury. Wiedział on, że różnaitość form najlepiej się prezentuje w zestawieniu z zorganizowanym, surowym tłem cywilizacji. Miejsce swojego pobytu na Ziemi Iyx wybrał posługując się ustalonym zawczasu algorytmem poszukiwania: jego realizacja zabrała mu nie więcej niż dwie sekundy czasu, a rezultat zgadzał się dobrze z oczekiwaniami. Przed wyruszeniem w podróż do innych zamieszkałych gwiazd w Ramieniu Spiralnym Iyx gromadził teraz wrażenia, których systematyka i formalizacja miały mu zająć czas w kolejnym etapie podróży.

## REKONSTRUKCJA

Wyszliśmy na dużą przerwę po lekcji historii, ja i Rino. Lekcja była na temat: „Pierwsza rekonstrukcja i problemy moralne”. Dyskutowaliśmy już podczas lekcji i wyglądało na to, że całą przerwę też przegadamy.

Stanęliśmy przy ogrodzeniu, pod wielkim kasztanem. Drzwi szkoły otworzyły się znowu i parami wymaszerowali pierwszoklasiści. Rozbiegli się po boisku i zaczęła się zabawa w Ostatniego Człowieka. Zasady były nieskomplikowane, chodziło się w koło i śpiewało piosenkę:

*Nie wiadomo, skąd się wziął,  
nie wiadomo po co.*

Wróciliśmy do naszej rozmowy. W podręczniku było tak napisane: „Już wtedy korzyści z rekonstrukcji musiały być oczywiste. Niemniej jednak humaniści byli gotowi »wrócić na

czworakach do lasu«, jeżeli okazałoby się to niezbędne do uratowania ich koncepcji człowieka”. Rino twierdził, że to nieprawda: jego zdaniem konserwatyści nie mogli być aż tak nie-mądrzy. Przekonywałem go, że byli.

— Weź takiego Don Kichota — mówiłem. — Przecież w jego czasach wiatraki już były znane. A on uważał, że to nieprzyjaciel. Albo weź takiego Arystotelesa.

Ale Rino uważał, że to zupełnie inna sprawa.

— Musieli mieć jakiś powód — powiedział w zamyśleniu. — Ja myślę, że chodziło im o serce. Czytałeś ich książki? Wszyscy pisali o uczuciach i o sercach.

— Co serce miało wspólnego z uczuciami? — zapytałem.

— Bo ja wiem? — powiedział Rino. — Biło raz tak, raz tak.

Zaczęliśmy się zastanawiać, ale nic z tego nie wychodziło. Rino usiadł pod drzewem, żeby poprawie swój dotleniacz. Pierwszoklasiści bawili się w najlepsze. Chodzili i śpiewali:

*Jak to żyje, czego chce?  
Głowa mu się chwiała,  
Ręce dwie i nogi dwie,  
I był cały z CIAŁA.*

Rino nie odzywał się, a więc otworzyłem podręcznik i zacząłem oglądać kolorowe tablice anatomiczne. Na jednej z nich był człowiek sprzed r e k o n s t r u k c j i — wszystkie niepotrzebne organy były pomalowane na niebiesko. Druga przedstawiała jego t y p o w e d e f e k t y i lepiej było na nią w ogóle nie patrzeć. Na następnej stronie był człowiek współczesny w trzech rzutach i w przekroju i projekty następnych rekonstrukcji. Pokazałem je Rinowi.

— Najbardziej mi się podoba ostatni projekt Forda — powiedział.

Pomyślałem, że nigdy naprawdę nie zrozumieję tych dawnych czasów. Oczywiście to nie moja wina: po prostu wtedy jeszcze nikt nie potrafił myśleć logicznie. Przypomniałem sobie, że właśnie ci, którzy najbardziej narzekali, nie chcieli się zmienić, kiedy przyszło do rekonstrukcji. Pomyślałem, że rekonstrukcja mogła im się nie podobać właśnie dlatego, że była koniecznie potrzebna, ale następne rekonstrukcje będą już dla przyjemności. Wreszcie zacząłem myśleć o o s t a t n i m c z ł o w i e k u, ale zaraz przestałem. To był temat wątpliwy moralnie. Pierwszoklasiści śpiewali ostatnią zwrotkę:

*Wędrowały długo tak,  
Lecz coś się zdarzyło:  
Znalazł sobie sznur i hak.*

— wszyscy parsknęli śmiechem —

*WIĘCEJ ICH NIE BYŁO.*

## **WIECZORNE NIEBO**

— Dobry wieczór !

Pani Ferguson drgnęła i podniosła oczy znalazła robótki.

— Ach, to pani. Proszę, niech pani usiądzie. Mamy dziś piękny wieczór, prawda?

— O, tak — powiedziała pani Pheltie. Usiadła na krześle naprzeciw pani Ferguson.

— Pani ma przynajmniej zajęcie — westchnęła. — Nigdy nie potrafiłam nauczyć się robić na drutach. Mąż i Johnny wyjechali przed wieczorem, jestem sama w domu. To dziwne, ale już od roku nie pamiętam, żeby mąż był w domu wieczorem.

Pani Ferguson uniosła brwi do góry.

— On i Johnny — wyjaśniła śpiesznie pani Pheltie. — Odkąd ma nowy wóz, zawsze wieczorami wozi Johnny'ego do miasta. W dzień, oczywiście, nie ma czasu.

— Tak — powiedziała pani Ferguson.

— Zresztą, dawniej było tyle roboty — kontynuowała pani Pheltie. — A teraz, cóż, automaty. Wszystko robi się samo, można by pomyśleć, że te maszyny są żywe. Wystarczy powiedzieć jedno słowo. Po prostu wierzyć się nie chce. Dwa lata temu nawet nie pomyślałabym, że coś takiego jest możliwe.

Pani Ferguson milczała.

— Uważam, że rząd zrobił bardzo mądrze, że dogadał się wreszcie z Uranidami — rzekła pani Pheltie. — Mówiono o nich tyle bzdur, a okazuje się, że nie są wcale straszni. Jeżeli chcą sprzedawać nam maszyny, tym lepiej dla nas. Cóż znaczy, że nie my produkujemy te rzeczy? Przecież płaci się im nie złotem, ale zwyczajnym węglem.

— Właśnie — powiedziała pani Ferguson.

— Gdyby takie roboty były naszej produkcji, kosztowałyby sto razy więcej, nieprawdaż? Albo samochody; teraz kosztują tylko sto dolarów. I to jakie samochody! Mój mąż powiada, że jeżdżą po prostu same. Nawet w nocy.

Pani Ferguson spojrzała w okno.

— Mój mąż powinien już wrócić — powiedziała. — Nie mam pojęcia, co go zatrzymało. Miał wrócić przed ósmą. Och, niech pani popatrzy, pani Pheltie. Znowu Oni. Te okropne latające talerze.

— Coraz ich więcej — rzekła pani Pheltie. — Prawda?

Pani Ferguson przyznała, że tak.

— Kiedyś, kilka lat temu, widziałam latający talerz — rzekła pani Pheltie — ale nikt nie chciał w to wierzyć. A teraz nie ma nocy, by nie pokazały się na niebie. Od czasu podpisania umowy.

— Kiedy je widzę — rzekła pani Ferguson — mam takie dziwne uczucie.

— Ja również — podchwyciła pani Pheltie. — Oni ciągle na nas patrzą. Jak gdyby nas obserwowali. Nie można wyjść na ulicę wieczorem, żeby kilka tych świateł nie zawisło nad tobą. Oni są wszędzie. Chyba tylko pod ziemią moim się przed nimi ukryć. Ale po co?

— Na szczęście nie trzeba — powiedziała pani Ferguson.

Chwila milczenia.

— Jakie to dziwne — powiedziała pani Pheltie.

— Co takiego? — ocknęła się pani Ferguson.

— No, oni, Uranidzi.

— Niedawno były Ich fotografie. W „Life”. Wyglądają po prostu okropnie.

— Johnny się nimi bardzo interesuje — z dumą oznajmiła pani Pheltie. — Przyniósł do domu książkę „Uranidzi” i musiałam ją całą przeczytać. Ale w ogóle niewiele o nich wiadomo.

— Skąd oni przylecieli?

— Nie wiem — powiedziała pani Pheltie niepewnie. — Johnny mówi, że z jakiejś gwiazdy. Z daleka.

Pani Ferguson wzdrygnęła się.

— Te ich macki. Wyglądają niesamowicie. Nie mogę przyzwycząić się do myśli, że oni są ludźmi.

— Ba — powiedziała pani Pheltie. — Są znacznie mądrzejsi od ludzi.

— No, tak. Oczywiście.

— Ich maszyny są niezwykle — przyznała pani Pheltie. Johnny zaglądał do silnika samochodu, zresztą wbrew instrukcji, i mówi, że tam są zupełnie inne urządzenia. Niczego nie mógł zrozumieć. Gdy dotknął jednej rurki, oparzył sobie palec.

Pani Ferguson ożywiła się.

— Albo Pomocnicy — rzekła. — Te ich najnowsze automaty, po piętnaście dolarów. Umieją prawie wszystko i są bardzo inteligentne. Nigdy nie miałam tak pojętej służącej. Ale ich wygląd! Jak ogromne kraby. Myślę, że mogliby wyprodukować model podobniejszy do człowieka.

— Ale kupiła pani ?

— Tak. To przecież naprawdę niedrogie.

— Ja również.

Po chwili milczenia odezwała się pani Pheltie:

— Niedawno zamknęto fabrykę w Monthrole. Mój kuzyn Slick pracował w tej fabryce. Dostaje teraz od rządu dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. To całkiem ładna sumka, ale gdyby był zwykłym robotnikiem, miałby tylko sto pięćdziesiąt dolarów.

— To także wystarczy.

— No, owszem.

— Trudno — rzekła pani Ferguson. — Muszą zamykać fabryki. Kto będzie kupował nasze wyroby? Nawet Ameryka Łacińska nie zechce, odkąd już tam jest misja Uranidów.

— Mąż mówi, że tylko przemysł zbrojeniowy pracuje normalnie.

— Och — rzekła pani Ferguson. — Jak zwykle.

— Ale Uranidzi nie chcą nam sprzedawać broni. Ja myślę, że to dobrze, ale mój kuzyn George upiera się, że Ziemia przez to nie jest ich równym partnerem. Uważa, że to niesprawiedliwe z ich strony.

— On jest pułkownikiem, prawda?

— Tak.

Znowu zapadło milczenie. Pani Ferguson wydawała się całkowicie zaabsorbowana robotą na drutach. Na korytarzu rozległ się odgłos stąpania.

— Kto to ?

— Och, nikt — powiedziała pani Ferguson. — Pomocnik. Czasami włóczy się po różnych miejscach, kiedy nie ma nic do roboty. Wydaje się, że jest ciekawy. Zupełnie jak żywy.

— To niesamowite — rzekła pani Pheltie. — U mnie jest zupełnie tak samo. Automaty-czne lodówki włóczą się po domu. Pomocnik manipuluje radiem. Samochód sam jeździ dokoła podwórza. Nigdy nie można przewidzieć, co im przyjdzie na myśl. Gdyby nie to, że są takie pożyteczne...

— Właśnie.

Stąpanie oddaliło się w stronę drzwi. Szczęknął zamek i drzwi się zatrzasnęły.

— Johnny mówił — odezwała się pani Pheltie — że Uranidzi mieli współpracować z naszymi uczonymi. Ale uczeni nie potrafili ich zrozumieć. Podobno trzeba uczyć się przez tysiąc lat, żeby dać sobie radę z ich nauką.

— Po co?

— Właśnie. Przecież i tak dostajemy, czego nam trzeba. Ale uczeni są już tacy, rozumie pani.

— Mniejsza o to — powiedziała pani Ferguson. Pani Pheltie stłumiła ziewnięcie.

— Telewizja jest coraz gorsza.

— O tak. Okropny program. Same rakiety i meteory, aż strach patrzeć. A do tego te okropne zakłócenia.

— To niezupełnie zakłócenia — wtrąciła pani Pheltie. — Johnny twierdzi, że to robią Uranidzi. Może jest to po prostu ich telewizja.

— Wczoraj to samo było z radiem. Przez trzy godziny nie można było słuchać.

Pani Pheltie niespokojnie poruszyła się na krześle.

— George...

— Cóż George?

Pani Pheltie zdecydowała się:

— Był wczoraj wściekły. Mówił, że Uranidzi dezor... że dezorganizują system obronny kraju przez te zakłócenia. Baza w Compton nie mogła pracować przez trzy godziny. George powiedział, że gdyby ktoś wtedy zaatakował, to by był koniec.

— Okropne — powiedziała pani Ferguson. — Znow latające talerze. Ileż ich jest? Nigdy nie widziałam tylu naraz.

— Dziwne.

— Na pewno — dość niecierpliwie powiedziała pani Ferguson.

— Nie to miałam na myśli — godnie rzekła pani Pheltie. — Przez cały czas nie widziałam żadnego samochodu na autostradzie. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Zwykle jest ich mnóstwo, szczególnie wieczorem. Teraz przez całą godzinę nie przejechał tędy żaden.

— Może... — zaczęła pani Ferguson.

— Co?

— Nie wiem. Mąż powinien już dawno wrócić. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał, ale powiedział, że ma bardzo pilny interes. Mieszkamy tak daleko od miasta...

Pani Pheltie wstała i odeszła od okna.

— Nie — powiedziała. — To nie ma sensu. Nie ma. Na pewno.

— Och — powiedziała pani Pheltie nerwowo. — Johnny opowiadał mi wczoraj takie dziwne rzeczy.

— O Uranidach ?

— Tak. I o ludziach, w ogóle. Ale to naprawdę makabryczne.

— Cóż to szkodzi ? Przecież to nieprawda.

— Dobrze — rzekła pani Pheltie. — Więc Johnny powiedział, że wie, dlaczego Uranidzi sprzedają nam za bezcen swoje maszyny. Chcą, aby każdy człowiek miał na własność chociaż jedną. Ale każdy człowiek, bez wyjątku.

— No? — rzuciła pani Ferguson niecierpliwie.

— Oni chcą zdobyć Ziemię — powiedziała pani Pheltie. — Oczywiście, to nieprawda. Ale Johnny mówił, że chcą to zrobić nie stosując żadnych bomb ani gazów. Bomby zniszczyłyby wszystko, promienie i gazy zatrąłyby atmosferę. Uranidzi nie mogliby osiedlić się na takiej planecie.

— Ciekawe — potwierdziła pani Ferguson.

— Naturalnie, że to bzdura — spróbowała się uśmiechnąć pani Pheltie. — Więc mówił Johnny, że oni nie mogą zrobić otwartej wojny, chociaż zwyciężyliby na pewno. Więc stosują podstęp. Coś w rodzaju konia trojańskiego.

Pani Ferguson skinęła głową.

— Zatem — ciągnęła pani Pheltie — oni sprzedają nam swoje urządzenia, których działania ludzie nie rozumieją. Jak na przykład samochody. Albo automaty kuchenne. Johnny wymyślił, że każda z tych maszyn na jakiś sygnał z ich latających talerzy może, no, może zabić człowieka, który ją posiada. W ten sposób, jeżeli to się stanie jednocześnie...

— Bzdura — powiedziała pani Ferguson ostro.

Pani Pheltie roześmiała się.

— Oczywiście, że bzdura. Powiedziałam Johnny'emu, żeby napisał o tym opowiadanie fantastyczne. Zarobi kilkadziesiąt dolarów.

Za oknem rozległy się kroki, ostrożne stapanie sztywnych nóg. Tuż pod oknem szelest zamarł.

— Te latające talerze — powiedziała pani Ferguson. — Nigdy dotąd nie latały tak nisko...

## SPIS RZECZY

WSTĘP	02
WIEŻA BABEL	04
THE BEATLES	07
CZASY TRZYCAŁOWYCH BEFSZTYKÓW	12
PRAWDA O ELEKTRZE	16
BYŁEM MUNDUREM PANA PUŁKOWNIKA	20
DZIEWIĘDZIESIĄT MILIARDÓW KILOMETRÓW OD SŁOŃCA	24
CZŁEKOKSZTAŁTNY	29
SEKCJA GENERAŁA HOFFMANNA	35
PRZYBYSZE	41

## DODATKOWO

NAJDALSZA PODRÓŻ PREZYDENTA	46
AMBASADOROWIE	47
REKONSTRUKCJA	50
WIECZORNE NIEBO	51